Nr. 12. Kraków, w grudniu 1903 r. Rok IV.

Przodownica

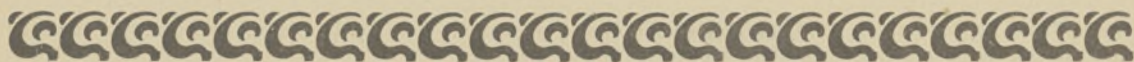
Pismo dla kobiet

wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . . . 1 kor. | zagranicą . . . 1 marka
półrocznie . . . 50 hal. | pojedynczy numer 10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, II. p.



* * *

Przed jutrzni jasnością urodzon z żywota!
Niech wzejdzie nad nami gwiazda Twoja złota!
Ta gwiazda, co mędrce przywiodła z za morza
I polnym owczarkom świeciła w bezdroża...
Bo trafić do Ciebie nie możem my sami!
A jutrznia daleko — gdzieś w gromach nad nami...
...I brakło nam chleba dla duszy i ciała
A tylko ta żałość serdeczna została,
Co głowy nam chyli, jak kłosy pożęte,
Pod stopki Twoje, o Dzieciątko święte!

A. Bandrowska.

Jako każe prastary nasz, polski, pobożny obyczaj, składamy Wam przy opłatku, Mili Czytelnicy i Drogie Czytelniczki *Przodownicy*, życzenia z głębi serca płynące: Oby Wam Bóg dał spokój i ukojenie i ciszę żywota! Oby pod strzechami chat Waszych zagościł dobry Anioł, Zwiastun szczęśliwości wszelakiej i oby nadzieja bliskiego odrodzenia Ojczyzny krzepiła Wasze dusze, zmęczone zbyt długą pokutą.

REDAKCYA.

WIECZÓR WIGILIJNY.



iatr ostry rzucał tumanami śniegu robiąc przy drogach i płotach ogromne zaspy. Pola, łąki i rowy były jednym całunem śniegu okryte, nie widać było ani drogi ani żadnej ścieżki, stopą ludzką wydeptanej, tylko gdzie niegdzie sterczące konary wierzby były oznaką, że w tym miejscu droga być musi.

Niebo okryte było grubą warstwą szarych chmur, przez które żadna gwiazdka przebić się nie mogła. Noc zrobiła się wczesna i tylko śnieg olśniewającą swą białością rozjaśniał trochę ciemność wieczoru.

Wśród tej ogromnej białej pustyni, szedł jakiś człowiek powolnym krokiem, to przystawał co chwila i rozglądał się, czy nie zbłądził, to znów szukając laską ubitego gościńca, posuwał się zwolna ku wsi, która w niedalekiej odległości widniała.

Podróżny musiał być podeszłego wieku, bo postać jego była pochylona, a chód ciężki, powolny. Czem bliżej było do wsi, tem częściej przystawał, odpoczywał, rozglądał się, kaszlał i szedł dalej. Już światełka w oknach migotać zaczęły jak gwiazdki w różnych miejscach, ale nie można było rozróżnić zarysów domów, tak wszystko było jednostajnie białe.

Podróżny nareszcie dowlókł się do wioski, stanął na środku gościńca i zaczął się rozglądać nie wiedząc, w którą iść stronę. Na szczęście wyszedł z poblizkiej chaty, jakiś mały chłopak otulony w duży kożuch ojca, wyszedł na gościniec i skierował się do środka wioski. Podróżny zatrzymał go pytając, jak się ta wieś nazywa? A to niewidzicie, że na drogowskazie jest Poręba zielona? — zawołał śmiało chłopak.

— Moje dziecko, wśród tak ciemnej nocy ani drogowskazu nie widzę, nie tylko napisu, ale powiedz mi, gdzie tu jest zagroda Tomasza Sławika?

— A chajn, kędy się w dwóch oknach świeci, bogacz, to w każdej izbie ma aż po dwa okna.

— Proszę cię zaprowadź mnie tam, bo nie wiem, którędy dojść tam można.

— E nie mam czasu, bo idę po naftę, dzisiaj wigilia, matusia już wieczerzę nagotowała, ino nam nafty brakło i mnie po nią wygnali na taką psotę.

— Dam ci 5 grajcarów a zaprowadź mnie, bo sam nie trafię.

— A no to pójdę z wami, ale kieby mi choć Bartek bez ten czas jabłek nie obtargał z podłożnicy — i małe chłopie poszło przodem, torując sobą drogę biednemu starcowi.

— A skądże to idziecie, że niewiecie, gdzie chałupa Sławika? zapytał chłopiec. — Z daleka, z bardzo daleka — odpowiedział podróżny.

— Pewnie z Myślenic, a może aż od Krakowa?

— Moje dziecko, ani ci tego powiedzieć nie mogę, zkąd idę, bobyś mnie pewno nie zrozumiał.

— No to chodźcie prędzej, bo mi Bartek opłatki obskubie, przeleźwa tu bez płot, to se skróciemy drogę — i skulony chłopak gramolił się przez płot, zanim powoli przeszedł podróżny.

— No, już jesteśmy u Sławika, dajcie te 5 grajcarów — a otrzymawszy takowe, brnął napowrót przez ogród wzbogacony chłopiec, snując plany, co kupić za te pieniądze, bo tak wielkiej kwoty nigdy jeszcze nie miał.

Podróżny otrzepał śnieg z odzieży i wszedł do sieni, a potem do ciepłej, jasną lampą oświeconej izby.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekł drżącym głosem. — Na wieki wieków — odpowiedzieli wszyscy.

Tomasz Słowik, jako gospodarz, zbliżył się do przychodnia i stanął, jak wryty, krzyknąwszy:

— Wszelki duch chwali Pana Boga — a odwracając się do siedzącej przy piecu staruszki, zawołał: — a dy to ojciec nieboszczyk przyszedł do nas.

Pochylona wiekiem staruszka, zbliżyła się do przybyłego, który rzeczywiście więcej był podobny do widma, niż do żyjącego człowieka, tak bardzo był wychudły i blady, i po chwili zawołała:

— O la Boga, a dy to mój Józuś, od maleńkości zawsze był podany na ojca, nawet taką brodawkę ma na czole.

Podróżny ukląkł przed staruszką, objął ją za kolana i zapłakał.

Staruszka płacząc głaskała go po głowie, mówiąc wzruszona: — Józuś moje dziecko, myśleliśmy, że już nie żyjesz, gdzieżeś był? — Tomasz pomógł bratu powstać i zaczął witać serdecznie: — Józuś, a to już ze 40 lat, jak nam się kajś podziałeś, i czemu nic o sobie wiedzieć nam nie dałeś?

— Pisałem, nieraz pisałem, aleście pewnie listów nie otrzymali, kiedy się tak dziwicie, że jeszcze żyję — odpowiedział Józef.

— A siadajże i opowiedz nam, gdzie byłeś.

— Dajcież mu wódki się napić, zmarznięty, jak sąpel, biadała matka. — Tomasz podał mu wódki i strucli na zakąskę, mówiąc: — pewnoś i głodny?

— Od dwóch dni nic w ustach nie miałem, ostatnie 5 grajcarów chowałem, żeby dać jakiemu furmanowi, żeby mnie trochę podwiózł, ale się nikt nie trafił, więc dałem jakiemuś chłopakowi, który mnie do was przyprowadził.

Młoda gosposia, córka Tomasza, która mieszkała w drugiej połowie domu, dziś pomagała matce gotować wieczerzę.

Stancya była obszerna, wybielona, podłoga wymyta, w czterech rogach stały snopki z pszenicy, żyta, jęczmienia i owsa, na środku izby postawili stół, zasłany cienką warstwą siana, przykryty był bieluchną płachtą; na środku stołu leżała duża strucla, która przedstawiała Dzieciątko Jezus w żłóbku, pod stołem nasłano słomy tak, tak w betleemskiej stajence.

Żona Tomasza wraz z córką zastawiały miski na stole, był żur, ze śledziem, kapusta z grzybami, kasza jaglana ze śliwkami, kluski czyli paluszki z makiem i susz, czyli gruszki i jabłka suszone razem gotowane a miodem zaprawione.

Zasiedli wszyscy na ławach i stołkach na około stołu, a staruszka była kontenta, że ma parę z Józusiem, bo Tomek z żoną, Marysia z mężem, dzieci dwoje, a na końcu parobek z dziewką, bo to z dawnych czasów uważają zawsze, żeby do wieczerzy było ludzi do pary, wtenczas cały rok wszyscy są zdrowi i wszystko się darzy. Kiedy podróżny posilił się i ogrzał, zaczął opowiadać swoje przygody, a najprzód zapytał matki, czy pamięta, kiedy wyszedł z domu.

— Pamiętam dobrze — odpowiedziała matka — było to na wiosnę, zdaje się w kwietniu w 1863 roku, kiedy to tam gdzieś daleko Polacy bili się z Moskalami, myślałam, żeś i Ty do nich przystał, i że cię tam gdzie zabili.

— Tak jest matko, przystałem do nich, bo gdym raz pojechał do Krakowa z deskami, jacyś panowie przechodząc koło mnie powiedzieli: ten zuch dałby radę niejednemu moskalowi.

— Czemu by nie? — odpowiedziałem — żebym ich tylko miał. Mieć ich możesz, jeżeli tylko zechcesz. Wzięli mnie do jakiejś kawiarni, i tam umówiliśmy się, że pójdę z nimi bić moskali. Jak przyjechałem do domu zacząłem namawiać we wsi parobków, żeby szli ze mną na moskala, ale tylko jeden Wojtek od kowala dał się namówić; tobie Tomku nic nie mówiłem, boś był jeszcze za młody i chorowałeś wtenczas na zimę.

Zabraliśmy się jednej nocy i cichaczem wyszli z domu, w Krakowie odszukałem tych panów i razem przekradliśmy się przez granice. Tam przez parę dni błąkaliśmy się po lasach, bo tylko nocami posuwaliśmy się śmiało dalej, aż doszliśmy do obozu pana Szydłowskiego, który miał dużo kosynierów, dali i nam zaraz kosy i poszliśmy uczyć się nimi robić, ścinając gałązki na krzakach.

Niedługo czekaliśmy na robotę, bo zaraz za parę dni zdarzyła się bitwa, a głowy moskiewskie leciały, jak makówki pod naszemi kosami.

Hej mocny Boży! mam ja też tych moskali dosyć na sumieniu, bom strasznie był do nich zapalczywy i nasiekłem tego plugastwa pewnie ze trzydziestu.

Byłem i ja kilka razy ranny, alem się wnet wygoił i siekł dalej. Ale i mnie przyszło nakoniec. W jednej bitwie zacząłem sobie z nimi baraszkować, a nie spostrzegłem, że kilku ich zaszło mi z tyłu i pochwycili mnie za ręce. Wszystkie ognie na mnie uderzyły, takem się zgniewał, jak się szarpnąłem, tak się im wydarłem, bom był mocny, jak niedźwiedź, ale mnie jeden tak trzepnął pałaszem przez rękę, że mi kosa wypadła na ziemię, i to mnie zgubiło. Pochwycili mnie i związali, jak barana; siedziałem w więzieniu w Zamościu przez kilka miesięcy, a potem popędzili nas na Sybir.

Tam w kopalniach do ciężkich robót przeznaczony byłem, alem się ciągle buntował i innych do buntu namawiałem, więc ciągle kary odbierałem, ale czem mnie więcej bili, tem ja im więcej dokuczałem, nie mogli ze mną sobie rady dać i wzięli mnie do wojska. Tem mi już najbardziej dokuczyli, że musiałem służyć pomiędzy takimi Mongołami i Tatarami szkaradnymi, że człowiek ze wstrętem patrzał na nich, a tu trzeba było nieraz spać na jednej pryczy, jeść z jednego kotła.

Popędzili nas potem na Kaukaz i tam Czerkiesów bić kazali. Mnie żal było ich zabijać, a że strzelałem bardzo dobrze, więc każdemu Czerkiesowi czapkę z głowy zrzuciłem, ale nie mam żadnego na swojem sumieniu.

Raz wysłali nas kilku na przeszpiegi, patrzymy, a tu w krzakach Czerkiesi obozują, kazali nam pocichutku nawracać, i dać znać do obozu; ja zawracając tak kichnąłem głośno, że Czerkiesi w jednej chwili, jakby się w ziemię zapadli; kara mnie za to nie minęła, alem się w duchu cieszył, żem Czerkiesów ocalił od niechybnej śmierci.

Raz stałem na warcie pod krzakami i zobaczyłem zdaleka, że Czerkiesi jadą, wziąłem chustkę od nosa, a na szczęście była wtenczas czysta, wsadziłem na bagnet i zacząłem wywijać karabinem, zobaczyli mnie, bo stanęli, zacząłem machać rękami, pokazując na nasz obóz, zrozumieli mnie, bo zawrócili i uciekli.

Raz wśród ciemnej nocy patrolowałem w bli-

skości naszego obozu, patrzę przed siebie na gościniec, coś mi majaczy, podchodzę bliżej, widzę jeźdźców. Stój, wołam przyciszonym głosem, kto wy? Czerkiesi odpowiedzieli, a ty kto? Polak — odpowiedziałem — ten co wam w czasie bitwy czapki z głowy zrzuca.

— Paliacy to czesny naród, może się wodki napijesz?

— Uchodźcie czemprędzej, żeby kto z obozu nie usłyszał, bo zgubilibyście mnie i siebie. — Uścisnęli mnie za ręce i pomknęli nazad, bo konie ich miały nogi szmatami pookręcane.

Przy wojsku służyłem dwadzieścia kilka lat, to jest cały ten czas, co miałem być na Syberyi, ale w kopalniach choć cięższa praca, byłbym pomiędzy swoimi, a tam między takim bydłem być musiałem; a najgorzej, że jeść nic nie mogłem, bo tu u nas lepiej dają trzodzie, niż tam ludziom. Tam ciągle dają krupy jęczmienia z ziemniakami nie dobrze nawet wypłukanemi, a co weźmiesz na łyżkę, to robak jakiś, wolałem już suchy chleb, choć ości drapały mnie po gardle, a w środku był zapleśniały, napiłem się potem wody, i tak mi lepiej po nim było, niż po tej wstrętnej gotowanej warzy.

Dokuczali mi wszyscy, żem Polak, ja im też odpłacałem, jak mogłem, za to często odbierałem chłosty, że musiałem często w szpitalu po kilka dni leżeć. Ale i mnie w końcu brakło siły, zanie mogłem na dobre i leżałem parę miesięcy w szpitalu i myślałem, że tam już trzeba zakończyć życie, ale Najświętsza Panienka do której zawsze się modliłem, zesłała mi pomoc. Do szpitala nastał nowy doktór Polak; jak się dowiedział, że ja już dwadzieścia kilka lat bez odpoczynku służę przy wojsku, aż się za głowę chwycił. On dopiero napisał mi świadectwo, że już niezdolny jestem do żadnej roboty, a potem napisał prośbę, żeby mnie już uwolnili, że karę odsłużyłem; trzymał mnie tak długo w szpitalu, aż przyszło dla mnie uwolnienie.

Z polecenia tego dobrego pana, dostałem się do jakichś państwa tam nie daleko, co pan był wysłany na całe życie na Sybir, a pani, jako dobra żona, los jego dzieliła. Mieli kawałek ogrodu przy domku, tom im kopał, zasadzał, plewił, łowił ryby, czasami jakiegoś ptaka upolowałem i tak żyliśmy we troje, choć bardzo skromnie, ale spokojnie, tylko tęsknota za krajem rodzinnym, za wami wszystkimi, żarła mi serce.

Nareszcie mój pan, co był już staruszek, rozchorował się i umarł, tak w kilka tygodni przyszły listy od jej dzieci, żeby wróciła do kraju. Sprzedaliśmy wszystko, co tylko było można, odprowadziłem panią kawał drogi, a potem piechotą, w drogę się puściłem o żebraczym chlebie. Musiałem często po kilka dni odpoczywać, bo sił brakowało iść dalej.

Tak dowlokłem się do Wilna, i tam w szpitalu przeleżałem kilka tygodni. Napisałem z tamtąd do mojej pani a ona przysłała mi pieniędzy na drogę.

Moja pani mieszkała u swojej córki, której Moskale cały majątek zabrali, został się jej tylko mały domeczek z ogrodem. Robiłem, co mogłem, żeby im darmo chleba nie jeść, bo go i dla siebie czasem biedaczki nie miały; i tam mi znowu kilka lat zeszło, aż wreszcie i moją dobrą panią pochowaliśmy, wtenczas podziękowałem młodszej pani za przytułek i puściłem się w drogę, żeby módz choć kości złożyć w swojej ukochanej Ojczyźnie, bo choć i Litwa do Polski należy, ale zapragnąłem was jeszcze zobaczyć.

Z Kowna wyszedłem jeszcze w sierpniu, myślałem, że za ciepła do was dojdę, ale mnie siły opuszczały, żem się po kilka dni ruszyć z miejsca nie mógł.

Na Jasnej Górze, w Częstochowie, nasza święta Królowa Polska, Najświętsza Panienka pokrzepiła mnie, żem przecież do was doszedł i wszystkich przy dobrem zdrowiu widzę, więc teraz już mogę umrzeć spokojnie.

— Co też to stryj mówi — zawołała młoda gosposia — jak sobie stryj wypocznie i odżywi trochę, to jeszcze w zapusty stryja ożenimy. Połowa roli i domu do stryja należy, to i niejedna młoda dziewucha na to się złakomi.

— Nie trzeba mi ani domu, ani roli, dajcie mi tylko kąt ciepły i łyżkę strawy, a to mi wystarczy, bo tego ani pojąć nie możecie, jak bardzo jestem szczęśliwy, żem powrócił do naszej drogiej Ojczyzny, i że kiedyś szary skowroneczek nad moją mogiłą polską piosnkę zanuci.

W. Ciechomska.



KOLENDA.

(Na nutę: Anioł pasterzom mówił).

Anioł z nieba ogłosił,
Że się Chrystus narodził,
Dla nas grzesznych ludzi na świecie,
Żebyśmy kiedyś przecie
Niebo oglądali.
Cóż Ci damy w ofierze,
Ty maleńki nasz Boże,

Gdyż dziś nic swojego nie mamy,
Ani szczęścia nie znamy,
Jako ludzie w niewoli.
Ojczyznę nam zabrali,
Skarby pomarnowali,
Braci nam na Ślązku mordują,
Mówić nie pozwalają,
Ni modlić się po polsku.
Przyjm z serc naszych ofiarę
I łez wylanych czarę,
I proś za nami Polakami,
By miał litość nad nami
Bóg w Trójcy Przenajświętszej.



KOLENDA.

Hej w dzień Narodzenia Boga prawdziwego,
Wszystkie nasze skargi zanieśmy do Niego,
By to Boskie Dziecię zrobiło ład w świecie,
Hej kolenda, kolenda!
Na Twe Narodzenie, cóż Ci Jezu damy,
Prócz mowy ojczystej, nic swego nie mamy,
Do życia nam trzeba wolności prócz chleba,
Hej kolenda, kolenda!
Prusak dzieciom w szkole cios srogi wymierza
Za to, że po polsku uczą się pacierza,
Moskal młodzież polską wypędza w Tobolsko
Hej kolenda, kolenda!
Tylko spokój mamy w naszej Galicyi,
Nie znamy niewoli obroży na szyi,
Za to z każdą wiosną podatki nam rosną,
Hej kolenda, kolenda!
Dajże nam doczekać Boże lepszej doli,
Byśmy się na zawsze pozbyli niewoli,
Bo gdy zechcesz Panie, Polska zmartwychwstanie
Hej kolenda, kolenda!

W. Ciechomska.



O CHLEBIE.

Pogadanka p. Tadeusza Chrząszcza.

(Dokończenie.)

Wreszcie pozostaje nam jeszcze do omówienia chleb jako pożywienie.

Aby ułatwić zrozumienie, co się dzieje z chlebem przy spożywaniu, musimy dać parę uwag wstępnych.

Trawienie pokarmu odbywa się w ustach, żołądku i kiszkach. W jamie ustnej zostają pokarmy do pewnego stopnia przygotowane do dalszego trawienia. Przez gryzienie i żucie zostają rozdrobnione, a nadto z gruczołów jamy ustnej wydzielona ślina, pokarmy zwilża, rozpulchnia i ułatwia ich przełknięcie. Ślina jest to ciecz czysta, ciągliwa, bez smaku i zapachu. W ten sposób w jamie ustnej obok rozdrobnienia, następuje już częściowe zcukrzenie mączki z pokarmów.

Tak przygotowany pokarm dostaje się za pośrednictwem przełyku do żołądka, gdzie spotyka się z jego sokiem. Sok żołądkowy jest to ciecz bezbarwna, kwaśna, z gruczołów żołądka wydzielana.

Po trzech do pięcio-godzinnem działaniu, przesuwają się niestrawione części pokarmu do kiszek cienkich, przyczem spotykają i mięszają się z wydzielinami gruczołów brzusznych, z żółcią i sokiem kiszek. Soki te wywierają na pokarm daleko silniej trawiący wpływ, niż sok żołądkowy. Soki i wydzieliny razem wzięte, przedstawiają się jako gęsto-płynna, bezbarwna i bezwonna ciecz: zawiera ona wiele soli mineralnych.

Stąd widzimy, iż w kiszkach spotykamy najsilniejsze działanie trawienia; części pokarmu, które pod wpływem soku żołądkowego nie uległy zmianom, zostają tutaj ostatecznie wyzyskane czyli strawione. Strawione części pokarmu rozchodzą się przez ściany narządu trawiącego i zasilają organizm jako materyał odżywczy; część niestrawiona zostaje przesunięta do kiszek grubych i jako część nieużyteczna, usunięta i wydalona.

Określiwszy w ten sposób trawienie, przystąpimy do rozwiązania następujących pytań: W jaki sposób składniki chleba zostają wyzyskane; który chleb jest najłatwiej strawnym i jakie własności powinien posiadać, by był możliwie dobrze wyzyskany?

Grubość mąki ma znaczny wpływ na wyzyskanie chleba przez organizm. Im lepiej ziarno jest zmełte, tem lepiej chleb jest strawny. Chleb z grubej mąki jest trudno strawnym.

Im mąka jest jaśniejszą, tem mniej posiada otrąb i na odwrót, grubsze mielenie pociąga za sobą zawartość większej ilości otrąb i ciemniejszą barwę mąki. Ponieważ wraz z łuską ziarna zostaje oddzieloną i część przylegająca do niej, a zawierająca, jak wiemy, wielkie ilości ciał białkowatych, to wynikałoby z tego, iż chleb ciemniejszy musi być pożywniejszy od jaśniejszego,

gdyż zawiera więcej ciał takich. Rzeczywiście chleb ciemny zawiera więcej białka, jednakże z powodu obecności grubszych cząsteczek otrąb nie zostają one należycie wyzyskane. Badania odnośne wykazały, iż chleb, zawierający wiele otrąb, zostaje źle strawiony, a wyzyskanie jest znacznie gorsze, jak przy chlebie jasnym.

Chleb z mąki jasnej jest pulchniejszy, posiada większą objętość przy tymsamym ciężarze niż to ma miejsce przy chlebie ciemniejszym. To rozpulchnienie ułatwia lepsze trawienie, podczas gdy przeciwnie, chleb mało pulchny, mało dziurkowaty, źle wyruszany, jest trudno strawny.

Pewna drobna ilość kwasowości, jaką otrzymuje się przy fermentacyi drożdżami prasowanemi, czyni chleb nietylko smaczniejszym, lecz i łatwiej strawnym. Silna kwasowość, jaką spotykamy zazwyczaj przy chlebie chłopskim, jest z reguły szkodliwą, bo drażni zbyt silnie narządy trawienia, jednakże zauważyć należy, iż ludzie przyzwyczajeni do wysokiej kwasowości (na wsi) znoszą ją bez najmniejszej szkody. Ludzie ze słabymi żołądkami, zwłaszcza chorzy na katar, powinni się wystrzegać spożywania silnie kwaśnego chleba. Przy potrawach mięszanych pewna wyższa kwasowość nie szkodzi, a nawet jest korzystną.

Co się tyczy, jaki gatunek chleba jest pod względem zdrowotnym lepszy? — to liczne badania stwierdzają, iż chleb pszeniczny jest najzdrowszym i pod każdym względem najkorzystniejszym.

Często słyszy się, jakoby chleb świeży, jeszcze ciepły, miał być zdrowiu szkodliwy. Badania uczonych nie mogą powyższych zapatrywań potwierdzić. Chleb, tak świeży jak i stary, zachowuje się zupełnie jednakowo, tak co do śliny, jakoteż soku żołądkowego i kiszkowego. Spostrzeżenie, jakoby chleb świeży miał być szkodliwym, można tylko w ten sposób wytłómaczyć, iż chleb świeży, jako więcej pulchny, zostaje z łatwością połknięty, nim został odpowiednio przez gryzienie rozdrobniony. Nie rozgryziony chleb świeży tworzy grudki, które opierają się działaniu soku żołądkowego i kiszkowego. Jeżeli jednak zostanie dobrze pogryziony, niema żadnej różnicy, czy jemy chleb świeży, czy stary.

Sól, jaka bywa dodawaną do chleba, ma przyczyniać się do łatwiejszego trawienia ciał białkowych.

Ponieważ pieczywo z mąki jasnej posiada mało ciał białkowatych, przeto przez dodatki różne starano się ilość ich zwiększyć. Z tych najważniejszym jest dodatek mleka, również w celu podniesienia pożywności dodaje się często obok mleka, masła.

Kończę streszczone moje uwagi:

Mąka zużyta na pieczywo powinna pochodzić ze zboża zdrowego, dobrze oczyszczonego. Mlewo powinno być bardzo drobne i zawierać wiele ciał białkowatych, a możliwie drobne ilości otrąb. Dodatki mleka i masła do ciasta są bardzo korzystne. Chleb powinien być zrobiony na drożdżach prasowanych, dobrze być wypieczony, silnie porowaty, o kwasowości małej. Wreszcie nadmienić należy, iż chleb pszeniczny jest najzdrowszy.



Z CHWILI BIEŻĄCEJ.

Silnie rozwinięte poczucie narodowości, dążenie do tworzenia państw na podstawie narodowej, to jedna z cech znamiennych dziejów XIX-go stulecia. Wśród ludów europejskich budzi się głęboka miłość do ziemi rodzinnej, przywiązanie do języka, historyi, literatury ojczystej; ludy te zyskują poczucie swej odrębności od innych, chcą żyć własnem życiem, mieć własny rząd, własne państwo, dążą do zdobycia niezależności politycznej, pielęgnują swe ideały narodowe, chcą rozwijać się w kierunku odpowiadającym najlepiej ich charakterom, upodobaniom, właściwościom plemiennym. Echa walk narodowościowych rozbrzmiewają też donośnie w historyi XIX-go wieku, a piękne, szlachetne uczucie narodowe wyradza się często w nienawiść do innych narodów, w pogardę wszystkiego co obce, leje się krew, ludy szarpią się wzajemnie i prześladują.

Walki i zatargi narodowościowe nie występują nigdzie tak jaskrawo, jak w państwie austryackiem, które powstało z połączenia w różnych czasach, różnych narodów pod panowaniem dynastyi Habsburgów. Rodzina ta dążyła do powiększenia swojej potęgi, swego znaczenia w Europie, drogą małżeństw, układów, wojen; zdobywała coraz to nowe kraje i wcielała w swe państwo ludy, mówiące różnymi językami, mające odmienną religię, obyczaje, stosunki i urządzenia wewnętrzne, różną przeszłość dziejową. Sama dynastya panująca była niemiecką, najdawniejsze jej ziemie dziedziczne, przez Niemców były zamieszkane, ale w skład państwa austryackiego kolejno weszły narody; węgierski, rumuński, wło-

ski, oraz liczni słowianie, jakoto: Czesi, Polacy, Rusini, Słowacy, Serbowie, Chorwaci i Słowieńcy. Rząd dążył zawsze do zatarcia różnic, jakie między nimi istniały, niszczył osobne urządzenia różnych narodów, prześladował ich język, chciał wszędzie zaprowadzić panowanie niemczyzny, chciał ludy mu podległe germanizować, narzucać im mowę, urzędników, obyczaje niemieckie.

Skoro w wieku XIX-tym wszędzie budzić się poczynała świadomość narodowa, dawny system rządowy nie mógł się utrzymać i w Austryi, walki narodowe szarpać poczęły państwem i szarpać niem nie przestają aż do dnia dzisiejszego. Każdy upominał się o należne mu prawa, swobody, o język ojczysty w szkołach i urzędach, o usunięcie przewagi niemczyzny. Panujący do tej pory żywioł niemiecki utrzymać usiłował dotychczasowe stasunki, Węgrzy żądali przyznania im zupełnej niezależności od Austryi i osobnej konstytucyi, najliczniejsi Słowianie chcieli zupełnie przekształcić ustrój państwa, ograniczyć władzę rządu, ustanowić wolny związek narodów z najszerszem uwzględnieniem ich praw, ich języka, ich odrębności.

Walka tych różnorodnych dążeń z całą gwałtownością przejawiła się w 1848 roku, w dobie rewolucyjnej i trwa do chwili obecnej. Różne narodowości zamieszkujące państwo, w żaden sposób nie mogą się ze sobą pogodzić, nie znoszą się wzajemnie, radeby jedne drugim narzucić swoją przewagę. Sprawa narodowościowa występuje na plan pierwszy w państwie austryackiem i trudną jest do rozwiązania. Zdarza się, że w jednej okolicy mieszkają obok siebie dwa lub trzy narody, tak n. p.: w Czechach, obok ludności miejscowej czeskiej, widzimy sporo Niemców; w Galicyi wschodniej obok Rusinów są Polacy; na Bukowinie Rumuni, Niemcy, Rusini i Polacy, w krajach południowych Włosi, Słoweńcy i t. d. W takich, jak je nazywają „okręgach mięszanych“ bardzo trudno jest oznaczyć, jaki język ma panować w szkołach, urzędach, na pocztach i telegrafach, zwykle jedna narodowość ma przewagę, inne czują się pokrzywdzone i upośledzone. Najbliżsi sąsiedzi prześladują się wzajemnie, wymyślają na siebie w najzjadliwszy sposób w dziennikach i na zgromadzeniach publicznych. Ta nienawiść wzajemna, te spory narodowościowe wypełniają dziś wewnętrzną historyę państwa austryackiego.

Przytaczam kilka przykładów z ostatniej doby: w Radzie wiedeńskiej, która jest najwyższą władzą, stanowiącą prawa dla Austryi, spory czesko-niemieckie oddawna występują na plan pierwszy. Raz Czesi, raz Niemcy są niezadowoleni z przyznanych im praw językowych, dzikim wrzaskiem, hałasem, przewlekaniem obrad uniemożliwiają pracę prawodawczą, targują się z ministrami, chcąc kosztem drugich wyjednać dla siebie ustępstwa.

W sejmie lwowskim znowu ścierają się ze sobą Polacy i Rusini; na ostatnich posiedzeniach najważniejszą sprawą było założenie gimnazyum w Stanisławowie, skoro sejm na to nie chciał się zgodzić, posłowie ruscy opuścili salę obrad i dalej w pracy brać nie chcieli udziału. Węgrzy znowu, uciskający srogo Słowaków i Chorwatów, żądają gwałtownie, aby w wojsku używano ich ojczystego języka, w miejsce panującej dotąd niemczyzny.

Państwo austryackie, zbudowane z połączenia różnorodnych ludów, chwieje się i rozpada pod naciskiem wzburzonych dzisiaj namiętności narodowych, wobec sprzecznych ze sobą interesów i dążeń narodów, marzących o odzyskaniu samoistnego, niezawisłego bytu.

Wspólne pożycie tylu różnoplemiennych żywiołów możliwem byłoby tylko wówczas, gdyby szanowano wzajemnie swój język i obyczaje, gdyby wszyscy używać mogli jednakich praw i równej swobody. Ale w chwili obecnej jest to niedościgłe marzenie, daleką jest jeszcze era powszechnego braterstwa; wre walka zawzięta, czujemy ją dokoła siebie, jest na porządku dziennym i nie rychło nastąpi jej rozwiązanie.

Helena Witkowska.



Historya ziemi.

(Ciąg dalszy).

VI.

Okres najnowszy obejmuje pokłady żwirów, piasków, mułu, gliny, martwicy, oraz torfowiska, ławy i wyspy koralowe, a także żyły złota, platyny i djamentów.

Już pod koniec poprzedniego okresu, ląd Europy, a wraz nim cała północna półkula ziemi uległy wielkiej zmianie. Ciepłota powietrza znacznie spadła, przyczem powoli zaczęły się wody oceanu lodowatego coraz bardziej posuwać ku południowi i zalewać stałe dotąd lądy. Fale morskie podmywały twarde skały dawniejszych formacyj, rozkruszały je, a następnie osad ten mineralny roznosiły z sobą. Gdy potem po kilkunastu tysiącach lat znowu się ląd europejski z toni oceanów wyłonił, pokryły się wyniosłe łańcuchy

gór północnych krajów ogromnymi lodowcami, które następnie ze szczytów wyżyn tych zsuwały się na niziny środkowej i wschodniej Europy, niosąc w sobie wielkie kawały oberwanych skał. A gdy po długich wiekach lody te stopniały, a wody zajęły tylko najniższe rozpadliny lądu, tworząc rzeki, jeziora i wśródlądowe morza, owe ogromne ułamki skalne, uwolnione z więzów lodowych, otarte i ogładzone, pozostały na miejscach, do których je niegdyś przyniosły wody i tam też sterczą do dziśdnia, jako tak zwane: głazy narzutowe. Wtedy dopiero zaczął się wyrównywać klimat okolic północnej półkuli ziemskiej, łagodniał i ujednostajniał się tak, że mogły tu żyć i rozwijać się liczne zwierzęta, których pojedyncze kości, całe szkielety, lub nawet, doskonale w lodach Syberyi zachowane, ciała odnaleziono w ostatniem stuleciu. Należą one przeważnie do gatunku roślinożerczych, jak n. p.: Olbrzymi słoń czyli mamut, którego skóra porosła była długim gęstym włosem, a przez cały jego grzbiet ciągnęła się kudłata grzywa, kły zaś miał do $4^1/_2$ metrów długości. Żył też wtedy nosorożec, mający dwa rogi na głowie; dalej wół pierwotny czyli bawół, konie, jelenie olbrzymie, oraz łosie, o rogach nadzwyczajnych rozmiarów. Z pomiędzy zwierząt mięsożernych były wtedy w jaskiniach mieszkające hyeny, wilki, niedźwiedzie, a kości ich w wielkiej ilości znajdujemy dziś w grotach wapiennych środkowej Europy. Oprócz tych żyły naówczas i inne przeróżne zwierzęta, jak węże, jaszczurki, ryby, owady i ptaki.

Nareszcie według wszelkiego prawdopodobieństwa w czasach tych ujrzała ziemia po raz pierwszy pana i króla wszystkiego stworzenia — człowieka! Że żył on już wtedy, mamy dowody w odnajdywanych resztkach szkieletów jego, oraz ręką ludzką wyrobionych narzędziach, któremi posługiwał się w walce z dzikiemi zwierzętami. Są to kamienne, przeważnie krzemienne siekiery, młotki, włócznie, noże i t. p.

Pod koniec tego okresu zdarzył się raz jeszcze na ziemi ogromny przewrót. Był to powtórny zalew niektórych części lądu stałego w środkowej Azyi, spowodowany nagłem wydźwignięciem górskich łańcuchów. Do tego to przewrotu odnosi się powszechnie znane podanie o potopie. Ludzie, wyparci wodami z miejsc pierwotnie przez siebie zajętych, rozchodzili się teraz dalej i dalej, a za nimi szły też i zwierzęta, które zaczęły się już oswajać i człowiekowi służyć. Ludzie ze stanu pierwotnego, na pół dzikiego i barbarzyńskiego, kiedy to żyli jako rabusie, myśliwi, a uzbrojeni byli w kamienny lub bronzowy oręż, przekształcili się następnie w koczowników t. j. pasterzy, a potem jeszcze zamienili sposób życia na osiadły, rolniczy, w stałych siedzibach przebywając, do ziemi przywiązani, posiadający własność i tworzący powoli narody. Jestto piękny okres rozwoju ludzkości, tak zwany okres żelazny. Pług, lemiesz i inne narzędzia pracy, oraz broń różnorodną, sporządzali już wtedy z tego twardego i cennego kruszcu. Jestto zarazem czas początku dziejów człowieczego rodu; tutaj więc kończy się historya ziemi, a zaczyna historya ludzkości.

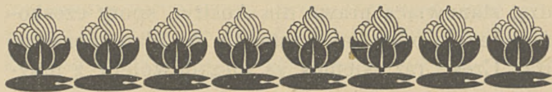
M. T. Bł.

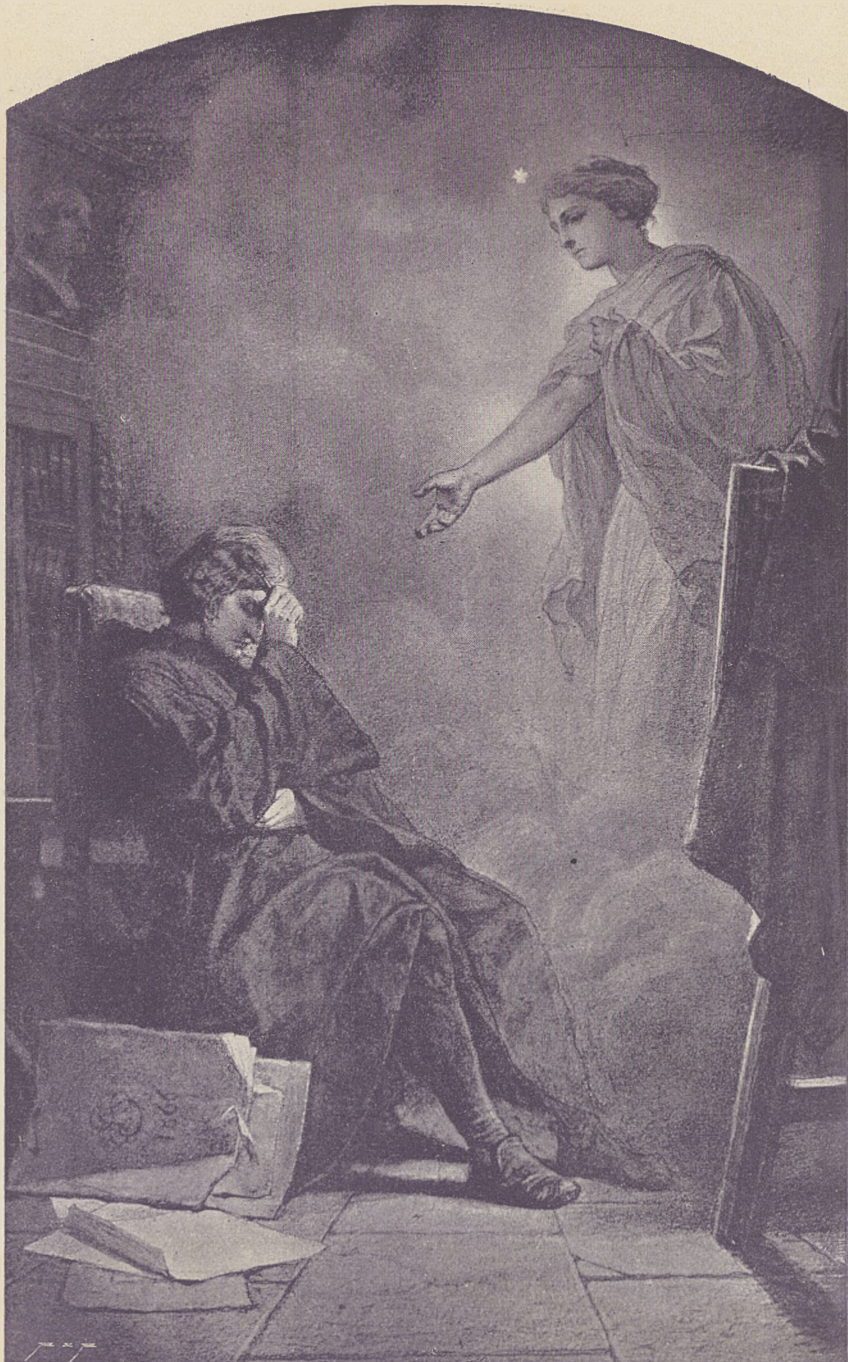


Piosnka polskiej dziewczyny.

Pokochałabym ja ciebie,
Oj tak... pokochała,
Gdybym była w twoim sercu...
Niemca nie poznała.
Cóż mi z tego, że masz polskie
Imię i nazwisko,
Kiedyś mową i zwyczajem
Już u Niemców blisko.
Cóż mi z tego, że masz grosza
Nie mało lecz wiele,
Kiedybyś ty już o Polsce
Nie pogwarzył śmiele.
Wzięli tobie Niemcy wzięli,
Z serca to kochanie,
Dla Ojczyzny, dla sieroty,
Na zdeptanym łanie,
Wzięli tobie z duszy wiarę
I tę polską mowę,
Co i droższa nam na ziemi
Nad skry brylantowe.
Więc nie mogę cię pokochać,
Boś dla mnie daleki,
I nie będę nigdy twoją,
Choćbyś czekał wieki...
Zmień swe serce,
Kochaj Polskę
Z całej duszy, siły,
A pokocham ciebie wtedy
I będziesz mi miły.

Jadwiga z Łobzowa.





Artur Grottger: „Wojna".

1. „PÓJDZ W DOLINĘ ŁEZ".



Artur Grottger: „Wojna“.

2 ZŁE WRÓŻBY (KOMETA).

O skórze i chorobach skóry
przydarzających się najczęściej u naszego ludu wiejskiego.

Napisał dr. Ż.

IV.

Rany zadane człowiekowi, mogą być albo cięte, n. p. zadane ostrzem noża na większej przestrzeni, albo kłute, n. p. zadane końcem noża, albo darte, jeżeli przedmiotem niezbyt ostrem ale twardem skórę uszkodzimy. Skóra wtedy pęka na pewnej przestrzeni. Tak n. p. uderzenie prętem twardym z wielką siłą, spowodować może nietylko pręgę silną na skórze, ale i skóra może pęknąć w tym miejscu. Oprócz tych ran znamy jeszcze rany pochodzące od postrzału kulą lub śrutem z broni palnej. Rany te albo tylko do skóry się ograniczają, albo i części głębiej leżące są uszkodzone, a nawet kula przeszyć może na wylot człowieka. Wspomnieć należy jeszcze i o ranach z oparzenia pochodzących, które się u ludzi dość często przydarzają skutkiem nieostrożności obchodzenia się z naftą, wodą wrzącą, przy pożarach i t. d. Otóż jeżeli gorąco nie było zbyt wielkie i działało na skórę przez czas krótki, to powoduje w odnośnem miejscu tylko zaczerwienienie, bardzo zresztą bolesne. Jeżeli gorąco od palącego się ciała było znaczne, to powierzchowne warstwy skóry ulegają wzdęciu i tworzą się pęcherze mniejsze lub większe, również bardzo bolesne. Jeżeli zaś działa na ciało ludzkie płomień albo wrząca woda przez czas dłuższy, to odnośna część ulega zwęgleniu, albo ugotowaniu. Oparzenia takie, przy których już powstają pęcherze, są dla życia ludzkiego bardzo niebezpieczne. Jeżeli oparzeniu ulegnie czwarta, a czasem tylko trzecia część skóry, to chory wśród straszliwych męczarni ginie zazwyczaj w dłuższym lub krótszym przeciągu czasu.

Przypatrzmy się teraz, jak postępować należy z ranami i jak tamować krwotok przez nie powstały. Jeżeli rana cięta zadaną została tylko w skórę narzędziem ostrem, to krwotok jest nieznaczny. Rany nie należy się dotykać rękami, bo na rękach zawsze znajduje się brud, zwłaszcza u ludzi ciężko pracujących, który ranę zanieczyścić może, ale pozwolić odpłynąć krwi, a po rozchyleniu brzegów rany, nie dotykając się samej rany, wylać kilka kubków wody najczęściej przegotowanej, na to położyć kawałek odpowiedniej wielkości gazy sublimatowej, której w każdej aptece dostać można, na to kawałek aptecznej waty, a na to założyć opaskę. U naszego ludu jest zwyczaj, że ranę jeden lub dwa razy dnia moczą ludzie w wodzie ciepłej z dodatkiem mleka, tu i owdzie zalewają moczem bydlęcym, albo kałem krówskim lub końskim i okładają i t. p. Jest to najnierozsądniejsze postępowanie, bo jeżeli rana była przedtem czystą, to dopiero wtedy ją zanieczyszczają chorzy. Opatrunek na ranie im rzadziej się zmienia i im mniej się ranę moczy, tem rana goi się lepiej i prędzej. Wystarczy gdy po czterech lub pięciu dniach zaglądniemy do rany i zmienimy opatrunek na sucho, to znaczy: nie będziemy jej moczyli, ale kawałkiem waty, umieszczonej we wodzie, obmyjemy jej sąsiedztwo ze krwi i znowu damy opatrunek takisam, jak to powyżej opisaliśmy.

Jeżeli taka rana goi się prawidłowo, to nie powinna boleć dotkliwie, a sąsiedztwo jej nie powinno puchnąć, a dno samej rany powinno być czyste, t. j. nie powinna się wydzielać z rany ropa żółta, lub nawet żółto-zielona. Jest to dowodem, że rana taka albo przez narzędzie albo przez nas samych przy robieniu opatrunku została zanieczyszczoną i w każdym takim wypadku należy się zwrócić do lekarza o poradę.

Podobnie zupełnie postępować należy z ranami dartemi.

Przy ranach kłutych, gdzie otwór na zewnątrz jest mały, a rana daleko sięga w głąb, należy z rany wycisnąć krew, ile się tylko da, i założyć opatrunek, jak to już wspomnieliśmy; są to rany o wiele niebezpieczniejsze niż cięte i często ulegają ropieniu, które przewleka gojenie. Należy więc w tych wypadkach szczególnie, gdy gojenie nie jest prawidłowe, a rana puchnie i boli, zwrócić się jak najprędzej do lekarzy. Takie rany kłute, nieraz bardzo małe na palcach u rąk ludu pracującego, przebiegają złośliwie bardzo: ropa nie wydziela się z nich na zewnątrz, ale drąży w głąb aż do kości palców, które obumierają i w ten sposób chory pozbywa się palca. Jeżeli przytem zjawiają się dreszcze i gorączka, należy ani chwili nie zwlekać, ale natychmiast udać się do lekarza, który przecinając głęboko chore miejsce, ratuje palec od zniszczenia. Zwykle w takich razach radzą na wsi przykładać wronie sadło, zajęczą skroń, gnój bydlęcy i t. d., aby chore miejsce „przeżarło“; należy się chronić od używania tych środków.

Co się tyczy ran postrzałowych, zadanych kulą lub śrutem, to jeżeli człowiek nie zginął na miejscu, rany dotykać nie wolno, ani próbować wyciągać kulę lub śrut, nawet gdyby nie leżały głęboko i były dla oka widoczne, a tylko nałożyć dużo gazy sublimatowej, na to waty, a na to założyć opaskę, którą mocno ucisnąć należy

chore miejsce i odwieść chorego co najprędzej do najbliższego szpitala.

Oparzenia, gdzie tylko skóra się zaczerwieni silnie, nie są niebezpieczne i najlepiej nic tutaj nie robić, a co najwyżej w razie pieczenia zasypywać kilka razy dnia chore miejsce mączką ryżową. Posypywanie takich miejsc zaczerwienionych solą, jak to w niektórych okolicach jest we zwyczaju, nie przyczynia się do usunięcia bólu, a tylko sprawia jeszcze większe pieczenie.

Oparzenia, gdzie już powstają na skórze bąble, jeżeli nie są na większej przestrzeni (bo takie wypadki jako bardzo niebezpieczne dla życia należy oddać w opiekę lekarzowi,) można leczyć w domu. Nie należy bąbli przebijać i wypuszczać z nich w ten sposób płyn, bo właśnie te bąble chronią do pewnego stopnia skórę i ułatwiają leczenie. Należy kupić w aptece wody wapiennej i mięszać ją z równą częścią oliwy stołowej, i w tej mięszaninie, po dokładnem skłóceniu, maczać płatki płócienne czyste a więc wygotowane, przykładać na ranę i co kilka godzin zmieniać.

Zwęglenie i ugotowanie sprowadza zawsze śmierć człowieka i dlatego nad tą sprawą rozwodzić się nie będziemy.

Wypada jeszcze pomówić o krwotokach i sposobach tamowania ich.

W rozdziale poprzednim opisaliśmy krążenie krwi w ustroju człowieka, poczem podnieśliśmy, że krew jest dwojakiego rodzaju: tętnicza jasno czerwona, przepływająca od serca przez tętnice pod wielkim parciem i żylna ciemno czerwona płynąca przez żyły ku sercu, a znajdująca się pod parciem niskiem.

W samej skórze znajdują się i tętniczki i żyłki, ale bardzo cieniuchne i dlatego przecięcie samej tylko skóry powoduje krwawienie małe, które łatwo bardzo zatamować, a ustaje ono też zwykle samo od siebie. Inna rzecz jest, gdy narzędzie kaleczące przetnie nietylko skórę, ale i tkankę podskórną i mięśnie, gdzie już przebiegają i żyły grube i tętnice grube. Krwotok powstały ze żył drobnych i większych nie jest niebezpieczny i łatwo go zatamować, z żył grubych może być dla ustroju niebezpieczny. Ale na szczególną uwagę zasługują krwotoki z tętnic nieco grubszych i grubych. Z przeciętych tętnic strzyka krew obficie a krwotok taki tętniczny poznaje się po tem, że wypływająca krew jest żywo czerwona i nie spływa z rany jednolitym strumieniem, ale z przerwami, odpowiadającymi pulsowi. Jeżeli okaleczoną została tętnica nieco grubsza a skaleczonemu nie udzielimy pomocy, to ginie ze skrwawienia czasem już w przeciągu kilku minut; w sąsiedztwie trupa znajduje się kałuża krwi. Jeśli widzimy z rany, w sposób opisany, wypływającą obficie krew, należy natychmiast przystąpić do ratowania nieszczęśliwego. Ponieważ krew tętnicza płynie w kierunku od serca ku obwodowi, zrozumiałem jest, że trzeba dopływ krwi do miejsca uszkodzonego zatrzymać. Zrobimy to najłatwiej, jeśli powyżej miejsca uszkodzonego wywrzemy ucisk zapomocą palców. Uciskając w ten sposób tętnicę naprzemian to jedną to drugą ręką, można w wypadkach bardzo obfitych krwotoków tętniczych przewieść chorego do szpitala, gdzie lekarz podwiązuje przeciętą tętnicę i w ten sposób ratuje mu życie. Można też zamiast uciskać ręką przez czas tak długi, co jest bardzo męczącem, w miejscu, gdzie się ręką uciska, ułożyć owinięty w chustkę dość duży kamień i następnie przywiązać go bardzo silnie opaską lub w braku jej dużą chustką. Mniejsze krwotoki, tak żylne jak tętnicze zatamować łatwo przez nałożenie na ranę gazy sublimatowej i waty, a na to należy założyć silnie opaskę.



Ul i jego mieszkańcy.

(Ciąg dalszy).

Gdy zakwitnie sadowina, pszczoły zaczynają w tym czasie ciągnąć robotę; słabsze pszczelną, a silne trutową. Podajemy więc w miarę potrzeby ramki z początkami woszczyny. Ponieważ idzie nam o to, aby w jamie było jak najmniej trutów, przeto robotę trutową, gdyby się w ulu pojawiła, wycinamy co cztery dni, a wycinamy tę, w której są już złożone jajeczka trutowe i przechowujemy w suchem miejscu, aby z kawałków tych w czasie obfitego pożytku w polu można złożyć plastry, które pszczoły wnet zaleją miodem.

Około 15 maja, gdy pszczoły obsiędą spodem 8 ramek, usuwamy maty i podsówkę. W tym czasie kwitnie agrest, który daje pszczołom dosyć dobrego miodu i wiele innych kwiatów. To też w dnie pogodne w pasiece panuje skrzętny ruch: praca i życie. Pracownice skrzydlate uwijają się od rana do wieczora, w ulu przybywa miodu i perhy; a matka zachęcona wzmagającym się dobrobytem w ulu, składa jajeczka na nowe siły, na nowe pokolenie.

Pasiecznikowi zależy najbardziej teraz na tem, aby matka czerwiła jak najwięcej i bez przerwy; w tym celu przyrządza się lekką szytą z cukru

(na 1 klg. cukru 1 i pół litra wody) i tą podkarmia się pszczoły w dniach pochmurnych lub słotnych, ale tylko te, które mają miodu pod dostatkiem.

Z wzrastaniem siły w ulu myślą pszczoły o założeniu nowej osady przez przedzielenie się na kilka gromad, zwanych rojami. O rojce musi myśleć i pasiecznik. Przedewszystkiem należy przygotować nowe ule i zaopatrzyć je w potrzebne urządzenie wewnętrzne i całą akcyę rojenia się pszczół należycie i umiejętnie kierować. Roje mogą być naturalnie i sztuczne.

Naturalnymi nazywamy te, których czas wyjścia i ilość ich zawisł był zupełnie od woli pszczół w ulu. Sztucznymi te, którymi kierowała wola i ręka umiejętnego bartnika. I pierwsze i drugie mają sobie właściwe zalety. Brak miejsca nie pozwala o wszystkich sposobach rójki obszerniej pomówić. Przytoczymy tylko ten, który można nazwać najlepszym, gdyż wychodzi na czas o z n a c z o n y przez pasiecznika z góry i nie pozbawia pnia macierzystego miodu, owszem miodu jest przy takiem rojeniu się pod dostatkiem.

Gdy pełno much w ulu, pełno czerwin w ramkach, a więc mniej więcej około 10 do 15-go czerwca kasujemy (usuwamy) matkę w ulu, z którego chcemy otrzymać rój.

Tegosamego wieczora lub w nocy założą osierocone pszczoły kilka mateczników ratunkowych, z których po 12 dniach wychodzą młode matki. Ta, która wyjdzie pierwsza, radaby pozabijać inne, siedzące jeszcze w matecznikach rywalki, aby panować w ulu niepodzielnie i wszechwładnie. Pszczoły, czując się w sile, chcą się roić; nie pozwalają przeto na zabicie innych matek. To też 14-go lub 15-go dnia od chwili skasowania starej matki wychodzi rój z młodą matką zazwyczaj między 9 a 1-szą godziną w południe. Z rojem, korzystając z zamieszania, wychodzi równocześnie kilka matek więzionych w matecznikach, a kilka pozostaje w ulu. Pszczoły wybierają w ulu jednę matkę i tę obierają królową, resztę zabijają. To samo dzieje się z matkami po osadzeniu wyszłego roju. Za zasadę przyjąć należy, że z jednego silnego pnia ma wyjść jeden rój; do dalszego zrajania się nie trzeba dopuszczać, bo się pień osłabia.

W czasie rójki pasiecznik musi ciągle na pnie, z których się roi spodziewa, uważać. Rój wyszedłszy po chwilce wesołego pląsania nad pasieką, osiada na drzewie, na płocie, na krzaku, a czasem i na ziemi, czyli, jak mówimy, wiąże się, tworząc zbity, duży kłąb czarny.

Osiadłe pszczoły należy skropić wodą i zebrać do kosza lub przetaka, postępując przy tem z zimną krwią i ostrożnie, a następnie wsypać do przygotowanego poprzednio ula. Zazwyczaj na nowe mieszkanie, jakby w posagu, dajemy pszczołom ramkę z miodem i czerwem, wstawiając ją od tyłu.

Osadzone pszczoły z nadzwyczajną energią zabierają się zaraz do pracy, budują komórki, znoszą miód, wiedząc o tem, że czeka je zima długa, zimna i bezlitośna. Późniejsze roje, n. p. te, które wychodzą po połowie lipca, są zazwyczaj w naszych stronach za późne. W lipcu i sierpniu pasiecznik zajmuje się już nie rójką, ale podbieraniem miodu, który stanowi dlań zapłatę za jego starania i trudy w pasiece.



Pielęgnowanie macior przed porodem.

Na tydzień przed oprosieniem umieścić maciory w osobnych przegrodach i dać im suchą, miękką ściółkę najlepiej z pociętej słomy. Maciory potrzebują koniecznie ruchu na podwórzu, zwłaszcza wtedy, gdy pojawi się już silne obrzmienie rodnicy. W stajni jednak powinny mieć spokój i dlatego bardzo szkodliwe jest przestraszenie macior na oprosieniu lub zmuszanie ich do szybkiego zrywania się na nogi.

Stajnia powinna być ciepła, temperatura nie powinna być niższa, jak 13^0 R. To też przy większej ilości świń należy ustawić w stajni amerykańskie piece, albo umieścić wysoko prośne maciory w ciepłej oborze. Gdy sutki nabrzmiewają i zaczyna z nich wyciekać mleko, można spodziewać się wkrótce porodu. Jeszcze w tym czasie powinny maciory użyć trochę ruchu na korytarzu stajennym, albo, przy pięknej pogodzie, na podwórzu.

Poród odbywa się najczęściej łatwo. Tylko u pierwiastek zdarzyć się może, że drogi porodowe są jeszcze wązkie i pierwsze prosie trudno się rodzi. W tym wypadku należy pomódz, wyciągając płód zwolna i spokojnie.

W największej jednak liczbie wypadków pomoc jest zbędna. Należy tylko zapobiegać temu, żeby rodząca maciora nie zrywała się niepotrzebnie. Zwykle można ją uspokoić, drapiąc ją lub głaszcząc w pobliżu sutek, nigdy jednak nie używać gróźb, bicia i t. p. Dozorca powinien na jakiś czas przed oprosieniem wchodzić często do chlewu i bawić się z lochą, żeby oswoiła się z nim i później, w czasie samego porodu, po-

zwalała mu chodzić koło siebie, dotykać się etc. Skoro wyjdzie pierwsze prosię, należy rozerwać błony płodowe, inaczej prosięta mogłyby się zadusić. Jeżeli sznurek pępkowy nie przerwie się sam, trzeba go przeciąć w odległości 3 do 4 cm. od brzucha. Krwotok, który rzadko się zdarza, można jednak powstrzymać przez podwiązanie sznurka.

Urodzone prosięta wkłada się zaraz w kosz napełniony sianem, a gdy już wszystkie wyszły, przysadza się je do matki. Przedtem jednak należy zobaczyć, czy które z nich niema zbyt ostrych zębów, gdyż te sprawiają matce przy ssaniu dotkliwy ból. Maciory kaleczą wówczas prosięta, zagryzają je i nawet zjadają. Słabsze prosięta należy przysadzić do przednich sutek, które wydzielają więcej mleka, Jeżeli jest więcej prosiąt, jak sutek, trzeba przysadzić słabsze prosięta do innej maciory, albo, gdy to niemożliwe, zabić. Łożysko i prosięta nieżywo urodzone należy natychmiast usunąć, inaczej zjada je maciora, co daje powód do zjadania w dalszym ciągu także prosiąt żyjących.

Przeciw temu nałogowi zjadania prosiąt, istnieje cały szereg środków, używanych z mniej lub więcej pomyślnym skutkiem. Najlepiej przeciwdziałać można temu w sposób następujący:

1. Usunąć natychmiast łożysko i nieżywo urodzone prosięta.

2. W czasie ciężarności nie dawać maciorom surowego mięsa.

3. Przywiązać na ryju kawałek cholewy z buta, która przeszkadza pożeraniu prosiąt, pozwala natomiast na zjadanie karmy (da się zastosować tylko u świń z długimi ryjami).

4. Posmarować prosięta na rozmaitych częściach ciała kreoliną.

Do „Przodownicy“.

Przodownico, idź do koła,
W wszystkie nasze polskie sioła.
Idź, odwiedzaj nizkie chatki,
Ucz, oświecaj polskie matki.
Nieś oświaty promień złoty,
Krzew nam w sercach miłość cnoty,
Miłość Ojczyzny i Boga,
Wskaż, gdzie życia prosta droga.
Nieś pod każdą wiejską strzechę
Dobrą radę i pociechę,
Jak trzeba żyć i pracować,
By się z biedy wyratować.
Idź, nauczaj polskie matki,
Jak wychować mają dziatki,
By zdrowo, cnotliwie żyły,
Dla Ojczyzny chlubą były.
Nauczaj, jak w każdej porze
Większa korzyść, ład być może,
Czy przy drobiu, czy przy trzodzie,
W kuchni, w polu, czy w ogrodzie.
A wy matki i dziewice,
Czytelniczki *Przodownice*,
Czytając ją, korzystajcie,
Przyjaciołkom polecajcie.
Od Bałtyku aż w Karpaty,
Niech do każdej wiejskiej chaty
Idzie wszędzie *Przodownica*,
Niewiasty polskie oświeca.

Benczyn, 25 października 1903.

Jantek z Bugaja.



ROZMAITOŚCI.

W dzisiejszym dodatku dajemy ustęp z powieści Henryka Sienkiewicza p. t. „Potop“, opisujący przesławną obronę Częstochowy przez księdza Augustyna Kordeckiego przeciw Szwedom: a dajemy to opowiadanie dlatego, iż w bieżącym miesiącu przypada właśnie rocznica tego pamiętnego w dziejach Polski cudownego ocalenia miejsca świętego. Z potopu ognia i krwi, który wtedy za nieszczęśliwego panowania króla Jana Kazimierza zalał Polskę całą, jak arka Noego wychyliła się jedna Jasnagóra — wolna, ocalona, nietknięta — przykład i zachęta dla reszty Rzeczypospolitej do oporu i zwycięstwa nad najezdcami.

Życie polskie na Górnym Ślązku. Wszyscy Niemcy, osiedli na Górnym Ślązku, połączyli się, podali sobie ręce i z jednej strony robią nam Polakom nieprzezwyciężone przeszkody, gdy chcemy uczyć i bawić się po polsku, z drugiej zaś używają wszelkich środków, aby tylko lud zwabić na widowiska swoje i wpoić mu zamiłowanie do Niemców i ich obyczajów. Wpajają niemczyznę ludowi naszemu namawianiem i pochlebianiem, często zaś groźbami i prześladowaniem, bo niektórzy pracodawcy i ich urzędnicy grożą robotnikom pozbawieniem kawałka chleba, jeśli nie poddadzą się tej działalności germanizatorskiej, wstępując do związków niemieckich i chodząc na te zabawy niemieckie. Lękliwi i mało wyrobieni politycznie Polacy czynią woli Niemców zadość.

Niemcy wszyscy zgodnie pracują nad wykorzenieniem polskości z serc ludu polskiego.

Pieniędzy nie brak Niemcom na te wysiłki. Daje je rząd pruski hojnie, który gdzieindziej w okolicach niemieckich wcale nie troszczy się o to, czy Niemcy są ucywilizowani, który spokojnem okiem patrzy na to, że w niemieckich okolicach szkoły się walą, a nauczyciele muszą częstokroć głód i nędzę cierpieć, zaś ciężko zapracowany nasz grosz, wzięty od nas w postaci podatków, obraca na wynaradawianie nasze. Zarządy gmin i rady miast zamiast opiekować się lepiej biednymi, których u nas nie brak, zamiast lepiej opłacać pracujących u nich robotników, mają zawsze pieniądze na cele germanizatorskie, pieniądze przeważnie polskie.

Właściciele kopalń i hut licho dają zarabiać robotnikom, a gdy chodzi o wsparcie kaiek, którzy w pracy dla nich stracili zdrowie i siły, to procesują się, aby im tylko nie dawać wsparcia, ale na germanizacyę mają zawsze rękę hojną i otwartą. Nawet księża niektórzy, którzy zawsze biadają i narzekają, mają pieniądze na zakładanie ochronek dla dzieci polskich, gdzie wszczepiają w młode ich serca niemczyznę zakonnice katolickie. Tak przedstawia się sprawa oświaty ludu polskiego na Ślązku. Nie o oświatę tu idzie, bo rząd pruski nigdy nie odznaczał się troskliwością zbytnią o szerzenie oświaty. Z miejscowymi, między nami osiadłymi Niemcami w zasadzie pragniemy żyć w zgodzie, jeśli nie nastają na naszą polskość, jeśli nie przykładają ręki do roboty germanizacyjnej rządu. Skoro atoli Niemcy wszyscy wypowiedzieli nam wojnę, musimy bronić się na każdym kroku, a obrona nasza musi być prowadzona tak samo nieubłaganie, jak walka z ich strony, bo nam idzie o nasz byt, o nasze życie polskie.

Na szczęście lud rozbudzony zaczyna odczuwać to i nieznośnymi stają mu się więzy, nałożone wbrew wszelkim prawom. Aby zapewnić sobie rozwój prawowity naszego życia polskiego i politycznego, musimy się postarać przedewszystkiem o schroniska dla niego.

Schroniskami takiemi są domy narodowe, domy polskie, z których ani rząd, ani policyant, ani żaden urzędnik nie będzie nas mógł wypędzać. Wszędzie na Ślązku lud żwawo bierze się do dzieła i daje składki na budowę domów narodowych. Wiarusi, którzy myślą o doli naszej i którzy mężnie staczają narzuconą nam walkę, mają obowiązek wszędzie i na każdym kroku myśl budowania domów polskich szerzyć, tłumaczyć wszystkim ich znaczenie, aby lud polski nareszcie mógł odetchnąć, aby mógł się kształcić i zwiększać swe siły, potrzebne mu do codziennej walki o swój byt narodowy i gospodarczy. Oby czem prędzej i inne miejscowości poszły za przykładem Siemianowic i kawał naszej ziemi polskiej nazwać swą własnością, która będzie użytkiem dla wszystkich.

Polacy w Nadrenii. Z Kray koło Essen nad Renem, nadesłano X. Mikulskiemu, proboszczowi św. Krzyża w Krakowie, 3 marki na Mszę św. w rocznicę założenia tamtejszego Towarzystwa polskiego imienia św. Marcina. W liście dołączonym tłómaczony jeden z tamtejszych Polaków, że nabożeństwo nie może się odbyć na miejscu, gdyż niektórzy księża nie pozwalają wnosić do kościoła chorągwi stowarzyszeń polskich, a nawet nie przyjmują od Polaków datków na Mszę św., mówiąc, że „polskich pieniędzy nie potrzebują". Skargi na to postępowanie wzmogły się, zwłaszcza po wyborach, gdy Polacy głosowali na swego „kandydata".

Z pobojowiska pracy górnika. W szybie „Henryka" w Ostrawie Morawskiej, wydarzył się wypadek, który porwał znów w ofierze życie ludzkie. Starszy górnik Adamek, chciał o 10 godzinie rano wstąpić na szalę, która właśnie zaczęła się wznosić w chwili, kiedy już jedną nogą stał na niej. Odskoczył więc w tył, ale w tejże chwili na sygnał dany elektrycznym dzwonkiem, maszynista szalę wstrzymał i spuścił ją nieco, ponieważ zaś działo się to na najniższem piętrze, a Adamek skacząc upadł pod szalę, więc został na miazgę rozgnieciony. Nieszczęśliwy był poddanym pruskim i zostawił wdowę z 6 drobnych, niezaopatrzonych dzieci.

Szczepienia ochronne przeciw wściekliznie. W roku 1902 zgłosiło się do zakładu Dra Bujwida w Krakowie ogółem 516 osób. Z tej liczby nie poddano 15 osób szczepieniu, z powodu, że kąsające zwierzę nie było dotknięte wodowstrętem. Największa liczba pokąsanych osób (70) przypada na czerwiec; potem idą miesiące: luty 63, maj 54, kwiecień 40, lipiec 41, listopad 40, marzec, wrzesień i październik po 36, styczeń 34, sierpień 32, grudzień 25. Na 500 osób szczepionych zmarło wśród objawów wodowstrętu, według zawiadomień nadesłanych do zakładu przez dotyczące Starostwa, ogółem osób 8. Szczepienia wykonywane były w ogólności w czasie właściwym i w dostatecznej ilości. Ostrożności, przedsięwzięte w roku ubiegłym, były wielkie, w celu uniknięcia wszelkiej możliwości dostania się obcego zarazka do szczepionki. Każdy chory otrzymywał szczepienie osobną igłą; strzykawka zaś każdorazowo była wyjaławiana zapomocą pary i następnie wodą jałową przepłukana. Zważyć należy, że wypalania, stosowane przez lekarzy, były wogóle zbyt silne, co powodowało znaczne zniszczenie tkanki. Należałoby wprowadzić napuszczanie ran nalewką jodową. Zwierzętami kąsającemi były w 483 przypadkach psy, w 21 przypadkach koty, w 3 przypadkach konie i krowy, w 1 przypadku borsuk, lis, świnia, cielę, wreszcie w 2 przypadkach dzieci dotknięte wodowstrętem.

Katastrofa w Zmerynce. W Braiłowie aresztowano człowieka, na którego spada odpowiedzialność

za wybuch w wagonie na stacyi Żmerynka. Jestto izraelita, handlujący potajemnie prochem; nabył proch w Winnicy bez pozwolenia. Proch był fabrykacyi rosyjskiej, używany do ślepych patronów. W worku było prochu 2 pudy 18 funtów.

Pisma odeskie i kijowskie pełne są szczegółów o katastrofie i stanie 64 ofiar, z których 5 umarło. Niektóre rany i oparzeliny są straszne: powypalane oczy, poparzone całe ciała. Takich ofiar jest kilkanaście; kilka dogorywa. Przynajmniej połowie grozi ślepota lub inne kalectwo. Nieszczęśliwych porozwożono do miejsc pobytu, część do Odesy, część do Kijowa, część do innych miast i poumieszczano w szpitalach. Matka jednego ze zmarłych w szpitalu dostała pomieszania zmysłów.

Straszny pożar. O godz. 3 nad ranem w Moskwie przy ul. Siemionowskiej wybuchł pożar, który objął główne i tylne schody wejściowe, a wkrótce najwyższe piętro, oraz strych domu. Na piętrze mieszkała rodzina kupca Kuzniecowa. Śpiących obudziły dym i gorąco. Widząc niemożność ratowania się przez schody, Kuzniecowowie postanowili wyskoczyć razem z dziećmi oknem. Pierwsza skoczyła 9-letnia córeczka Klaudya i zabiła się na miejscu. Następnie skoczyła Kuzniecowa i potłukła się tak ciężko, że w drodze do szpitala zmarła. Potem skoczyła druga córeczka i uległa ciężkiemu potłuczeniu. 12-letni syn Mikołaj odważył się ratować przez płonące schody i ocalał, uległszy jedynie niezbyt ciężkiemu oparzeniu. Sam Kuzniecow z dwiema córkami: 2-letnią Katarzyną i 10-letnią Anną, nie zdążył wyskoczyć; po ugaszeniu znaleziono zwęglone zwłoki trojga. Prócz tego z innych mieszkań wyskoczyły dwie osoby i ciężko się potłukły, oraz kilka innych osób uległo pokaleczeniu i oparzeniu. Pożar powstał skutkiem podpalenia.

Pożar w kolei. W nocy dnia 10 listopada w pociągu pocztowym, dążącym z Petersburga do Moskwy, w składzie wagonu pocztowego wybuchł pożar, z powodu zapalenia się kilku posyłek zagranicznych, zawierających palny materyał. Spaliło się doszczętnie 437 posyłek, 11 worków, z których dwa z dziennikami, 9 z listami, 3 paki z posyłkami i paka z gazetami. Spaliło się także 21 woreczków, w których większa część przesyłanych papierów wartościowych i banknotów pozostała nieuszkodzona. Ogień uszkodził 50 woreczków, ale zawartość ich ocalono; 52 woreczki i 28 worków uległo zamoczeniu przy gaszeniu ognia.

Wybuch w kopalni. W kopalniach węgla w Conesville w Ameryce nastąpił wybuch gazów. 15 robotników zginęło, 4 rannych. Przy podobnej katastrofie w Lilly zginęło 35 osób i 32, przeważnie robotników włoskich, odniosło rany.

Wylew Newy. Z Petersburga donoszą: Z powodu ostatnich deszczów wezbrała woda w Newie, zalewając ulice. W wielu ulicach wstrzymano ruch wozowy. Popołudniu woda zaczęła opadać. O przyczynach wylewu donoszą: O godz. 4 w nocy szalał orkan z deszczem, przy czem Newa i kanały wystąpiły z brzegów. Z twierdzy dano strzał alarmowy. Wszystkie ulice w pobliżu zalane. Woda w Newie podniosła się o $9^1/_2$ stopy. Jestto największy wylew od roku 1821, kiedy woda wzniosła się o 12 stóp. Mosty kolejowe do Carskiego Sioła i Moskwy pod wodą. W porcie z g i n ą ć m i a ł o k i l k a o s ó b. O godzinie 2 popołudniu woda zaczęła opadać. Wieczorem jeszcze niektóre ulice stały pod wodą.

Z Pragi donoszą, że burze poniszczyły całe lasy. Rzeki wezbrały, zalewając w wielu miejscowościach pola. Połączenie kolejowe w wielu miejscach przerwane.

Z Włoch nadchodzą wiadomości o spustoszeniach, zrządzonych przez rzeki i potoki górskie, które skutkiem ulewy wystąpiły z koryta. W Motta di Livenza większość domów stała pod wodą, a rada gminna Trevizu wysłała tam zapasy żywności. Syndyk Sandony ogłosił odezwę o składki na powodzian prowincyi weneckiej; rzeka Piave zalała przestrzeń 30 klm. kw. Wsie i pola uprawne stoją pod wodą, około dziesięciu osób utonęło; zginęły też we wzburzonych falach całe stada bydła, szeregi domów runęły. Z Werony donoszą, że poziom rzeki Adygi podnosi się ciągle, zatapiając ulice miast, pola i wioski. W Consenzy, na południu, wszystkie domy na jednej z ulic zburzone, mosty pozrywane. Połączenie kolejowe w wielu miejscach przerwane, straty olbrzymie.

Trzęsienie ziemi. Dnia 3 listopada w mieście Nucha w Rosyi uczuć się dało dwukrotnie słabe trzęsienie ziemi. Falowanie było dosyć słabe i można je było zauważyć jedynie po wahaniu się wiszących przedmiotów. Wstrząśnienia nastąpiły w kilka sekund jedno po drugiem. Tegoż dnia o godzinie 1 w nocy rozległ się straszny, podziemny huk, a w ślad za nim ściany poczęły trzeszczeń, szyby w oknach dzwonić, drzwi skrzypieć i t. d. Nastąpiło bardzo silne drgnięcie gruntu. Nawet ludzie bardzo mocno śpiący pobudzili się, a osoby stojące lub siedzące zachwiały się, jak gdyby przy nagłem zatrzymaniu pociągu. W mieszkaniach poczęły spadać ze ścian i z półek rozmaite przedmioty, tynk pękać i obsypywać się i ściany domów trzeszczeć. Zewsząd rozległy się krzyki rozpaczy. Prócz stosunkowo niewielkich uszkodzeń domów, podczas katastrofy tej nie było ani jednego wypadku z ludźmi.

Szczególne zjawisko. Z Nowego Jorku w Ameryce donoszą o szczególnych zjawiskach przyrody. Silne bardzo promienie zorzy północnej jaśniały w Nowym Jorku w listopadzie między godz. 2 a 4 po północy; rzucały olśniewające światło i barwy i wywołały przerwy w drogach telegraficznych w całych Stanach Zjednoczonych. Przed świtem zorza północna zgasła,

a szczególny ruch, jakim drgały druty, uspokoił się dopiero po wielu godzinach.

Od r. 1882 nie obserwowano tam zorzy północnej, jaśniejącej z taką siłą. Promienie świetlne powstawały na widnokręgu i zamieniały się na gorejącą czerwień i zieleń, płonęły złotem, jaśniały białością, ukazując się kolejno, a później łącząc ze sobą. Widok był istotnie wspaniały. Ludziom zdawało się na razie, że to łuna jakiegoś olbrzymiego pożaru. Ludzie, wrażliwi na wpływ elektryczności, odczuwali wyraźnie jej oddziaływanie. Nigdy dotąd w Nowym Jorku burza magnetyczna nie wpłynęła do tego stopnia na druty.

Zagadkowy wypadek. Koleją peterbursko-moskiewską w przedziale II klasy jechał z Petersburga do Warszawy student uniwersytetu warszawskiego Ch., syn inżyniera dróg. Miejsce w przedziale tym zajął również jakiś wojskowy. Po pewnym czasie zjawił się w przedziale konduktor i prosił o pozwolenie umieszczenia dwóch podróżnych III klasy, tam bowiem wszystkie miejsca były zajęte. Po chwili weszła do przedziału jakaś młoda Francuzka i Niemiec. Oboje nie mówili po rosyjsku. Ponieważ student mówił biegle, zarówno po francusku jak i po niemiecku, zawiązała się wkrótce ożywiona rozmowa, w ciągu której Niemiec poczęstował mężczyzn papierosami. Student, po wypaleniu papierosa, dostał silnego zawrotu głowy i wyszedł na korytarz dla zaczerpnięcia świeżego powietrza. Za jego przykładem poszło całe towarzystwo. Oficer powrócił wkrótce do przedziału z Francuzką, student pozostał na korytarzu wraz z Niemcem, który okazywał uprzedzającą grzeczność. Student przypomina sobie, że wypalił jeszcze jednego papierosa, poczem dostał jeszcze silniejszego zawrotu głowy; co się dalej stało, nie wie. Obudził się wreszcie na chłodnej ziemi z silnym bólem w ręce, ociekającej krwią. Ch. podniósł się całym wysiłkiem i dowlókł się do oddalonej o 200 sążni stacyi Ługa, gdzie go opatrzono. Rękę miał całą zmiażdżoną. Z kieszeni ubrania skradziono mu pugilares i woreczek z pieniądzmi, oraz kwit bagażowy. Jaki los spotkał drugiego podróżnego, oficera, dziennik petersburski nie wie i wyraża równocześnie zdziwienie, jak mógł konduktor nie zauważyć tajemniczego zniknięcia podróżnego i nie zawiadomić o tem władzy.

Przechowywanie warzyw w piwnicy. By piwnica nadawała się do przechowywania warzyw, musi być przewiewna i chłodna. W piwnicach ciepłych ziemniaki szybko kiełkują, buraki zaś, selery, pietruszka, marchew wypuszczają liście i tracą na smaku. Piwnica powinna być także sucha, bo w mokrej rzuca się pleśń i jarzyny gniją. Każdy rodzaj jarzyn układać osobno, tak n. p. buraki, marchew lub pietruszkę układać w niewysokie (50 cm.) stosy, a przestrzeń wolną, t. j. wszelkie dziury i szpary zapełnić piaskiem, by warzywa nie utracały wilgoci.

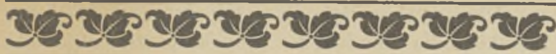
Dla innych warzyw, jak: kapusty głowiastej, brukselskiej, dla kalafiorów i innych sporządzić grządki z piasku na 15 cm. wysokie, następnie wybrać te warzywa z korzeniami i wsadzić do piasku tak gęsto, by się liściami nie stykały. By się piasek z grzęd nie obsuwał, trzeba grzędy obłożyć deskami. Takie warzywa wymagają wiele wilgoci, więc co kilka dni trzeba je skrapiać wodą, by nie powiędły.

Nowa wylęgarnia jaj. P. Emil Preyer ze Lwowa zrobił nową wylęgarnię jaj. Składa się ona z obszernego pudła drewnianego, opartego na wysokiej podstawie. W połowie tego pudła znajduje się szereg wałków, na których układa się jaja, przeznaczone do wylęgania; poniżej wałków umieszczona jest delikatna siatka, do której wpadają kurczęta po przekłuciu skorupki, pod siatką wreszcie znajduje się t. zw. potnik, który wytwarza parę i w ten sposób dostarcza jajom potrzebnej wilgoci. Ponad wałeczkami znajduje się wężownica, metalowa rura, do której doprowadza gorącą wodę, sporządzony odpowiednio, z boku umieszczony przyrząd; wodę ogrzewa lampka naftowa. Wężownica ta ogrzewa powietrze, znajdujące się w pudle do właściwej temperatury. Pod wpływem tego ogrzanego powietrza jajo się rozwija i po 18 do 20 dniach opuszcza skorupkę kurczę, zupełnie prawidłowo rozwinięte. Po wykłuciu przechodzi kurczę do drugiego przyrządu, również sztucznie ogrzewanego, gdzie spędza około 4 tygodni. W tym drugim przyrządzie, zwanym „matką“, zastępują opiekuńcze skrzydła kwoki frędzelki, sporządzone z miękiej wełny. W jednej z przegródek znajduje się pokarm i woda, a ostatnia przegródka to „bawialnia“, gdzie starsze kurczęta spędzają czas, bawiąc się w piasku.

Ochrona przeciw pęcznieniu drzewa. Rozpuszcza się w ćwierćlitrowej butelce benzyny parafinę aż do jej nasycenia. Tym roztworem powleka się za pomocą pędzelka płaszczyzny drzewa nieochronione od wilgoci. Benzyna wsiąka prędko w drzewo i zabiera tyle parafiny ze sobą, że powierzchnia zewnętrzna drzewa staje się gładka i ślizka. Nadaje się ten sposób do drzwi, okien i szuflad.

Z Rzymu. W Watykanie, pałacu papieża, wybuch pożar krótko po godzinie 8 wieczorem. Straży pożarnej udało się ograniczyć pożar; na miejsce pożaru przybył podsekretarz stanu dla spraw wewnętrznych, burmistrz książę Colonna, wyżsi urzędnicy policyjni. Również przyszedł papieski sekretarz stanu, ks. Merry de Val z kilku prałatami.

W Watykanie panowała obawa, mianowicie z powodu książek i manuskryptów, które były w sali obok miejsca pożaru. O godz. wpół do 12 ogień ugaszono. Z przedmiotów sztuk pięknych nic się nie spaliło. O pożarze natychmiast uwiadomiono papieża, który wyraził żywe ubolewanie.



Czubata i Jarzębiata.

(BAJKA).

Na śmiecisko ku śpichlerzu,
Dawno żyjące w przymierzu
Przyszły dwie kury sąsiadów,
Aby grzebać wśród pośladów.
Zaczęły się powitania,
Wykrzykniki i pytania.
— Jak się macie jarzębiata?
Zdrowa? — A wy, jak czubata?
— Zdrowam, lecz mam wielkie smutki,
Bo mi sprzedali kogutki.
— Trudno, taki wyrok Boski,
Zostały wam choć kokoszki.
— Ale ja biedna sierota.
Sama grzebię koło płota,
Bo mi na Zielone święta
Sprzedali wszystkie kurczęta.
— Tak, czubatko, jak was proszę,
Ja to co dzień jajko znoszę,
Wciąż się staram, cóż mam za to?
Sieroctwo na całe lato.
— Wiecie też co? ta srokata,
Znacie ją, to ta pyskata,
Co ona też nie zrobiła,
Dwadzieścia jaj zaziębiła!
Taka to jest ta srokatka,
To jest suka, a nie matka.
Gdybym gospodynią była,
Tobym jej łeb ukręciła!
— A białka, to już od maja
Wciąż w pokrzywach niesie jaja.
A ta znowu nakrapiana,
To wciąż od samego rana
Za kogutem ciągle chodzi
I na nas wszystkie podwodzi.
Już tak dalej być nie może,
Wezmę się, pójdę ku dworze,
Aż do samego kapłona
I opowiem, jaka ona!
— A ta czarna bez grzebienia,
To znowu nie ma sumienia,
Nigdy jajek nie uskłada,
Zniesie — jeszcze ciepłe zjada.
— A ta bura koło szyje,
Wciąż się z nami kłóci, bije,
Każdej na honor nastąpi,
Kogutowi nie ustąpi!
— A czaplata z nogą krzywą,
To tak ogromnie bajczywa,
Ani się jej śni, ni widzi,
Każdą obmówi, oszydzi,
Chociaż sama — zmiłujcie się!
Jak dembianki jajka niesie.
— A u naszego koguta,
To jest brzydka w pianiu nuta;
A zły taki jak wścieklina,
Ciągle tylko klnie, przeklina!
— Lecz czubata, jak was proszę,
Jak was kocham, w sercu noszę,
Com wam dziś opowiedziała,
By tylko wy i ja wiedziała.
— Ale sumiennie nie powiem
Nikomu, a co się dowiem
Od was, jarzębiatko młoda,
To jest u mnie „kamień woda“.
Tak dwie kury rozmawiały,
Obmawiały, i gdakały,
Cały dzień by tak mówiły,
Lecz się same pokłóciły.
— A tyś taka! — taka z ciebie!
I z pazurkami do siebie.
— Wynoś się mi z moich śmieci!
Biją się, aż pierze leci.
To za grzebień, to za pierze,
Poczęły się wodzić szczerze.
I co przedtem naszeptały,
Głośno wszystko wygdakały.
Aż przyleciał kogut na to,
Łup czubatą, jarzębiatą,
— A bajczarki, a niecnoty,
A co to to za kłopoty!

Głupia bajka, tak powiecie,
Lecz wieleż bab jest na świecie,
Które jako te dwie kury,
Takiej samej są natury...
Gdy się zejdą, wnet rozmowy,
Różne bajki i obmowy,
A potem z gadania tego
Gniewy, bitki, wiele złego!...

Benczyn, 10 października 1903.

Jantek z Bugaja.

Na budowę domu ludowego imienia Tadeusza Kościuszki w Krakowie przesłali ze Ślązka austryackiego Jan Juroszek, sekretarz gminy Istebnej, 2 kor.; Jadwiga Zawadowa 2 kor. Z Górnego Ślązka na ten sam cel 2 marki Sikora.

Redakcya składa Sz. Ofiarodawcom „Bóg zapłać“.

Od Redakcyi.

W tym numerze zamiast obrazka, dajemy Wam, Czytelnicy drodzy, aż cztery razy większy niż zazwyczaj dodatek. W styczniu natomiast dołączonym będzie obrazek pięknie kolorowany, lecz trzeba, abyście prenumeratę zawczasu przysyłali, bo koszta wydawnictwa bardzo się zwiększyły, a ceny gazetki wcale nie podnosimy.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: **Marya Siedlecka.**
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.

OBRONA CZĘSTOCHOWY.

USTĘP Z „POTOPU“

HENRYKA SIENKIEWICZA.

Zaledwie pierwszy brzask rozpraszał ciemności; dzień zapowiadał się pogodnie; chmury pozbijały się w długie taśmy i pasma na zachodzie, ale wschód był czysty; na bladnącem zwolna niebie migotały niepoprzesłaniane oparami gwiazdy. Kmicic [1]) zbudził ludzi, sam przybrał się w świąteczne suknie, bo nadchodziła właśnie niedziela i ruszyli w drogę.

Po złej, bezsennej nocy, był Kmicic znużony na ciele i duszy.

Jechał więc w milczeniu, utkwiwszy oczy w jakiś punkt, bardzo błyszczący na widnokręgu. Konie parskały na pogodę; ludzie poczęli śpiewać sennymi głosami jutrznię.

Tymczasem rozwidniało się coraz bardziej, niebo z bladego stawało się zielone i złote, a ów punkt na widnokręgu począł tak błyszczeć, że oczy mrużyły się od tego blasku.

Ludzie przestali śpiewać i wszyscy patrzyli w tamtę stronę, wreszcie Soroka [2]) rzekł:

— Dziwo, czy co?... Toć tam zachód, a jakby słońce wschodziło?

Istotnie, owo światło rosło w oczach, z punktu uczyniło się kołem, z koła koliskiem — zdala, rzekłbyś, że ktoś zawiesił nad ziemią olbrzymią gwiazdę, siejącą blaski niezmierne.

Kmicic i jego ludzie patrzyli ze zdumieniem na owo zjawisko świetliste, drgające, promienne, nie wiedząc, co mają przed oczyma.

Wtem od Kruszyny [3]) chłop nadjechał w drabinkach. Kmicic zwróciwszy się ku niemu, ujrzał, iż chłop czapkę trzymał w ręku i patrząc w owo światło, modlił się.

— Chłopie? — spytał pan Andrzej — a co się to tak świeci?

— Kościół Jasnogórski! — odrzekł kmieć.

— Chwała Najświętszej Pannie! — zakrzyknął Kmicic i czapkę zdjął z głowy, za nim uczynili toż samo jego ludzie.

[1]) Sławny żołnierz za panowania króla Jana Kazimierza.

[2]) Pachołek Kmicica.

[3]) Wioska pod Częstochową.

Ogarnęła rycerza jakaś niewypowiedziana bojaźń, pełna czci, ale zarazem nieznana radość wielka, błoga. Od tego kościoła, jarzącego się na wysokości w pierwszych promieniach słońca, biła nadzieja, której pan Kmicic dawno nie zaznał, otucha, której napróżno szukał, siła niepokonana, na której chciał się oprzeć. Wstąpiło weń jakoby nowe życie i poczęło krążyć po żyłach wraz ze krwią. Odetchnął tak głęboko, jak chory, budzący się z gorączki, z nieprzytomności.

A kościół lśnił się coraz bardziej, jakby wszystko światło słoneczne w siebie zabrał. Cała kraina leżała u jego stóp, a on patrzył na nią z wysokości, rzekłbyś: stróż jej i opiekun.

Kmicic długo oczu nie mógł oderwać od tego światła i nasycał i koił się jego widokiem. Ludzie jego mieli twarze poważne i przejęte obawą.

Wtem głos dzwonu rozległ się w cichem rannem powietrzu.

— Z koni! — zawołał pan Andrzej.

Zeskoczyli wszyscy z kulbak i klęknąwszy na drodze, rozpoczęli litanią. Kmicic ją odmawiał, a żołnierze odpowiadali chórem. Nadjechały przez ten czas nowe wozy; chłopi, widząc modlących się na drodze ludzi, przyłączyli się do nich i coraz większa czyniła się gromada.

Gdy wreszcie skończono modlitwy, powstał pan Andrzej [1]), a za nim i jego ludzie, lecz szli już dalej piechotą, prowadząc konie za uzdy i śpiewając: „Witajcie jasne podwoje“.

Tak szli długo. Kościół, klasztor i otaczające go mury widniały coraz wyraźniej, stawały się coraz wspanialsze, ogromniejsze. Dojrzeli wreszcie i miasto w dali, a pod górą całe szeregi domów i chat, które przy ogromie kościelnym wydawały się tak małe, jako gniazda ptasie.

Była to niedziela, więc gdy słońce wybiło się dobrze już w górę, droga zaroiła się wozami i pieszym ludem, ciągnącym na nabożeństwo. Z wysokich wież poczęły huczeć dzwony większe i mniejsze, napełniając powietrze wspaniałym dźwiękiem. Była w tym widoku i w tych głosach spiżowych jakaś potęga, jakiś niezmierny majestat, a zarazem i spokój. Ten szmat ziemi u stóp Jasnej Góry wcale był niepodobny do reszty kraju [2]).

[1]) Imię Kmicica.

[2]) Gdzie właśnie wrzała sroga wojna ze Szwedami.

Od bramy fortecznej chłopi i szlachta, mieszczanie z różnych okolic, ludzie wszelkiego wieku, obojej płci i wszystkich stanów, czołgali się ku kościołowi na kolanach, śpiewając pieśni pobożne. Płynęła ta rzeka bardzo wolno i bieg jej zatrzymywał się co chwila, gdy ciała zbiły się zbyt ciasno. Chorągwie wiały nad nią nakształt tęczy. Chwilami pieśni milkły i tłumy poczynały odmawiać litanią, a wówczas grzmot słów rozlegał się z jednego końca w drugi. Między pieśnią a pieśnią, między litanią a litanią tłumy milkły i biły czołem w ziemię lub rzucały się krzyżem; słychać było tylko głosy błagalne i przeraźliwe żebraków, którzy siedząc po dwóch brzegach rzeki ludzkiej, odsłaniali na widok publiczny swe skaleczałe członki. Wycie ich mieszało się z brzękiem grosiwa, wrzucanego do blaszanych i drewnianych mis. I znowu rzeka głów toczyła się dalej i znowu brzmiały pieśni.

Różnice stanu znikły; chłopskie sukmany zmieszały się z kontuszami, żołnierskie kolety [1]) z żółtemi kapotami mieszczan.

We drzwiach kościoła ścisk powiększył się jeszcze. Piersiom brakło oddechu, ciałom przestrzeni, lecz duch, który je ożywiał, dawał im żelazną odporność. Każdy się modlił, nikt nie myślał o niczem innem.

Kmicic, czołgający się ze swymi ludźmi w pierwszych szeregach, dostał się wraz z pierwszymi do kościoła, potem prąd wniósł go do cudownej kaplicy, gdzie tłumy rzuciły się na twarz, płacząc, obejmując rękoma posadzkę i całując ją z uniesieniem. Tak czynił i pan Andrzej, a gdy wreszcie ośmielił się podnieść głowę, uczucie rozkoszy, szczęścia i zarazem śmiertelnej obawy, odjęło mu prawie przytomność.

W kaplicy panował mrok czerwony, którego nie rozpraszały zupełnie płomyki świec, jarzących się przed ołtarzem. Świece na ołtarzu miały glorye złote. Dymy z kadzielnic tworzyły mgłę purpurową; biały ornat zakonnika, odprawiającego ofiarę, grał przyćmionymi kolorami tęczy. Wszystko tu było pół widne, pół przysłonięte, nieziemskie: blaski nieziemskie, mroki nieziemskie — tajemnicze, uroczyste, błogosławione, przepełnione modlitwą, adoracyą, świętością...

Obraz jeszcze był przysłonięty, więc oczekiwanie tłumiło dech w piersiach. Widać tylko było oczy wpatrzone w jedną stronę, nieruchome twarze, jakoby już z ziemskiem życiem rozbratane, ręce złożone przed ustami, jak u aniołów na obrazach.

Śpiewowi zakonnika wtórowały organy, wydając tony łagodne a słodkie. Chwilami zdawały się one sączyć jak woda w źródle, to znów padały ciche, a gęste, jak rzęsisty deszcz majowy.

Wtem huknął grzmot trąb i kotłów — dreszcz przebiegł serca.

Zasłona obrazu rozsunęła się w dwie strony i potok brylantowego światła lunął z góry na pobożnych.

Jęki, płacz i krzyki rozległy się w kaplicy.

„Salve Regina!“ — zawrzasła szlachta, a chłopi wołali: „Panienko Najświętsza! Panno złota! Królowo anielska! ratuj, wspomóż pociesz, zmiłuj się nad nami!“

I długo brzmiały te okrzyki wraz ze szlochaniem niewiast, ze skargami nieszczęśliwych, z prośbami o cud chorych lub kalek.

Z Kmicica dusza nieomal wyszła; czuł tylko, że ma przed sobą niezmierność, której nie pojmie i nie ogarnie, a wobec której wszystko niknie.

Tymczasem ofiara skończyła się. Pan Andrzej sam nie wiedział, jakim sposobem znalazł się znowu w głównej nawie kościelnej. Tu zatrzymał pierwszego napotkanego zakonnika i oznajmił mu, że w sprawie kościoła i klasztoru chce się widzieć z przeorem.

Przeor [1]) dał mu natychmiast posłuchanie. Był to człowiek w dojrzałym wieku, który już ku wieczorowi się zbliżał. Twarz miał niezmiernie pogodną Czarna gęsta broda okalała mu oblicze, a oczy miał niebieskie, spokojne i patrzące przenikliwie. W swoim białym habicie wyglądał poprostu jak święty. Kmicic ucałował go w rękaw szaty, a on ścisnął go za głowę i spytał: kto jest i zkąd przybywa?

— Przybywam ze Żmudzi [2]) — odrzekł pan Andrzej — aby Najświętszej Pannie, utrapionej ojczyźnie i opuszczonemu panu [3]) służyć, przeciw którym dotąd grzeszyłem, co wszystko na spowiedzi świętej wyznam obszernie i o to proszę, abym dziś jeszcze lub jutro do dnia mógł być wyspowiadany, gdyż żal za winy do tego mnie skłania. Nazwisko swoje prawdziwe też powiem ci, ojcze wielebny, pod tajemnicą spowiedzi, nie inaczej, bo

[1]) Kaftany.

[1]) Ksiądz Augustyn Kordecki.

[2]) Kraj litewski.

[3]) Królowi Janowi Kazimierzowi.

źle do mnie ludzi uprzedza i do poprawy przeszkadzać mi może. Przed ludźmi chcę się zwać Babiniczem, od jednej mojej majętności, przez nieprzyjaciela ogarniętej. Tymczasem ważną przywożę wiadomość, której wysłuchaj, ojcze, cierpliwie, gdyż o ten przybytek święty i o klasztor chodzi!

— Chwalę zamiary waszmości i poprawy życia przedsięwzięcie — odrzekł ksiądz przeor Kordecki. — Co do spowiedzi, nieleniwie chęci twojej dogodzę, a teraz słucham.

— Długom jechał — rzekł na to Kmicic — siła widziałem i namartwiłem się niemało... Wszędy umocnił się nieprzyjaciel, wszędy heretykowie głowę podnoszą, ba, sami nawet katolicy do obozu nieprzyjaciela przechodzą, który tem, jako i zdobyciem dwóch stolic [1]) uzuchwalony, na Jasną Górę teraz świętokradzką rękę podnieść zamierza.

— Od kogo masz waszmość tę wiadomość? — spytał ksiądz Kordecki.

— Nocowałem ostatniej nocy w Kruszynie. Przyjechali tam Weyhard Wrzeszczowicz [2]) i cesarski poseł Lisola, który z dworu brandeburskiego wracał, a do króla szwedzkiego zdążał.

— Króla szwedzkiego niema już w Krakowie — odrzekł na to ksiądz, patrząc przenikliwie w oczy pana Kmicica.

Lecz pan Andrzej powiek nie spuścił i tak mówił dalej:

— Nie wiem ja, czy on jest, czy go niema... Wiem, że Lisola do niego jechał. Obaj rozmawiali przy mnie po niemiecku, nic się mojej obecności nie strzegąc, gdyż nie myśleli, abym mógł ich mowę wyrozumieć, którą ja z dzieciństwa znając tak dobrze, jak i polską, to wymiarkowałem, że Weyhard namawiał, aby klasztor zająć i do skarbca się dostać, na co od króla otrzymał pozwolenie.

— I waszmość to na własne uszy słyszałeś?

— Tak, jako tu stoję.

— Stanie się wola Boska! — rzekł spokojnie ksiądz.

Kmicic zląkł się. Sądził, że ksiądz nazywa wolą Boską rozkaz króla szwedzkiego i o oporze nie zamyśla, więc rzekł zmieszany:

— W Pułtusku widziałem kościół w szwedzkich rękach, żołnierzy w karty w przybytku Bożym grających, beczki piwa na ołtarzach i niewiasty bezwstydne z żołnierzami.

---

[1]) Kraków i Warszawa.

[2]) Zdrajca.

Ksiądz wciąż patrzył prosto w oczy rycerza.

— Dziwna rzecz — rzekł — szczerość i prawda patrzą ci z oczu...

Kmicic spłonął.

— Niech tu trupem padnę, jeśli to nieprawda, co mówię!

— W każdym razie ważne to wieści, nad któremi naradzić się wypadnie. Waszmość pozwolisz, że poproszę tu starszych ojców i kilku zacnej szlachty, tu u nas teraz mieszkających, którzy nas radą w tych okrutnych czasach wspierają. Waszmość pozwolisz...

— Chętnie przed nimi to powtórzę.

Ksiądz Kordecki wyszedł i po kwadransie wrócił z czterema starszymi ojcami.

Wkrótce potem wszedł pan Różyc-Zamoyski, miecznik sieradzki, człowiek poważny; pan Okielnicki, chorąży wieluński; pan Piotr Czarniecki, młody kawaler o groźnej marsowej twarzy, podobien do dębu ze wzrostu i siły i kilku innej szlachty różnego wieku. Ksiądz Kordecki prezentował im pana Babinicza ze Żmudzi, poczem powtórzył wszem wobec kmicicowe nowiny. Oni zaś dziwili się okrutnie i poczęli mierzyć oczyma pana Andrzeja badawczo i z niedowierzaniem.

Wreszcie po długiej naradzie rzekł przeor:

— Panie kawalerze! Bóg ci zapłać za dobrą intencyę... Jeśliś nas słusznie ostrzegł, wiekopomną będziesz miał zasługę względem Najświętszej Panny i ojczyzny.

*
* *

Nazajutrz zrana dziwny i niezwykły ruch zapanował w klasztorze. Bramy były wprawdzie otwarte i nie tamowano przystępu pobożnym, nabożeństwo odbywało się zwykłym trybem, ale po nabożeństwie nakazano wszystkim obcym opuścić obręb klasztoru. Sam ksiądz Kordecki w towarzystwie pana miecznika sieradzkiego i pana Piotra Czarnieckiego, oglądał szczegółowo blanki i skarpy, podtrzymujące mury z wewnątrz i z zewnątrz. Nakazano też tu i owdzie poprawki; kowale w mieście dostali rozkaz przygotowania osęków, dzid, poosadzanych na długich drągach kos, sztorcem na drzewca zatkniętych, maczug i kłód ciężkich, nabijanych hufnalami.

Ciężkie działa, w liczbie dwunastu, osadzono na nowych lawetach i rychtowano odpowiednio.

Z lamusów klasztornych zakonnicy i pachołkowie wynosili kule, które układano w stosy przy armatach; wytaczano jaszcze

Od bramy fortecznej chłopi i szlachta, mieszczanie z różnych okolic, ludzie wszelkiego wieku, obojej płci i wszystkich stanów, czołgali się ku kościołowi na kolanach, śpiewając pieśni pobożne. Płynęła ta rzeka bardzo wolno i bieg jej zatrzymywał się co chwila, gdy ciała zbiły się zbyt ciasno. Chorągwie wiały nad nią nakształt tęczy. Chwilami pieśni milkły i tłumy poczynały odmawiać litanią, a wówczas grzmot słów rozlegał się z jednego końca w drugi. Między pieśnią a pieśnią, między litanią a litanią tłumy milkły i biły czołem w ziemię lub rzucały się krzyżem; słychać było tylko głosy błagalne i przeraźliwe żebraków, którzy siedząc po dwóch brzegach rzeki ludzkiej, odsłaniali na widok publiczny swe skaleczałe członki. Wycie ich mieszało się z brzękiem grosiwa, wrzucanego do blaszanych i drewnianych mis. I znowu rzeka głów toczyła się dalej i znowu brzmiały pieśni.

Różnice stanu znikły; chłopskie sukmany zmieszały się z kontuszami, żołnierskie kolety [1]) z żółtemi kapotami mieszczan.

We drzwiach kościoła ścisk powiększył się jeszcze. Piersiom brakło oddechu, ciałom przestrzeni, lecz duch, który je ożywiał, dawał im żelazną odporność. Każdy się modlił, nikt nie myślał o niczem innem.

Kmicic, czołgający się ze swymi ludźmi w pierwszych szeregach, dostał się wraz z pierwszymi do kościoła, potem prąd wniósł go do cudownej kaplicy, gdzie tłumy rzuciły się na twarz, płacząc, obejmując rękoma posadzkę i całując ją z uniesieniem. Tak czynił i pan Andrzej, a gdy wreszcie ośmielił się podnieść głowę, uczucie rozkoszy, szczęścia i zarazem śmiertelnej obawy, odjęło mu prawie przytomność.

W kaplicy panował mrok czerwony, którego nie rozpraszały zupełnie płomyki świec, jarzących się przed ołtarzem. Świece na ołtarzu miały glorye złote. Dymy z kadzielnic tworzyły mgłę purpurową; biały ornat zakonnika, odprawiającego ofiarę, grał przyćmionymi kolorami tęczy. Wszystko tu było pół widne, pół przysłonięte, nieziemskie: blaski nieziemskie, mroki nieziemskie — tajemnicze, uroczyste, błogosławione, przepełnione modlitwą, adoracyą, świętością...

Obraz jeszcze był przysłonięty, więc oczekiwanie tłumiło dech w piersiach. Widać tylko było oczy wpatrzone w jedną stronę, nieruchome twarze, jakoby już z ziemskiem życiem rozbratane, ręce złożone przed ustami, jak u aniołów na obrazach.

[1]) Kaftany.

Śpiewowi zakonnika wtórowały organy, wydając tony łagodne a słodkie. Chwilami zdawały się one sączyć jak woda w źródle, to znów padały ciche, a gęste, jak rzęsisty deszcz majowy.

Wtem huknął grzmot trąb i kotłów — dreszcz przebiegł serca.

Zasłona obrazu rozsunęła się w dwie strony i potok brylantowego światła lunął z góry na pobożnych.

Jęki, płacz i krzyki rozległy się w kaplicy.

„Salve Regina!“ — zawrzasła szlachta, a chłopi wołali: „Panienko Najświętsza! Panno złota! Królowo anielska! ratuj, wspomóż pociesz, zmiłuj się nad nami!“

I długo brzmiały te okrzyki wraz ze szlochaniem niewiast, ze skargami nieszczęśliwych, z prośbami o cud chorych lub kalek.

Z Kmicica dusza nieomal wyszła; czuł tylko, że ma przed sobą niezmierność, której nie pojmie i nie ogarnie, a wobec której wszystko niknie.

Tymczasem ofiara skończyła się. Pan Andrzej sam nie wiedział, jakim sposobem znalazł się znowu w głównej nawie kościelnej. Tu zatrzymał pierwszego napotkanego zakonnika i oznajmił mu, że w sprawie kościoła i klasztoru chce się widzieć z przeorem.

Przeor [1]) dał mu natychmiast posłuchanie. Był to człowiek w dojrzałym wieku, który już ku wieczorowi się zbliżał. Twarz miał niezmiernie pogodną. Czarna gęsta broda okalała mu oblicze, a oczy miał niebieskie, spokojne i patrzące przenikliwie. W swoim białym habicie wyglądał poprostu jak święty. Kmicic ucałował go w rękaw szaty, a on ścisnął go za głowę i spytał: kto jest i zkąd przybywa?

— Przybywam ze Żmudzi [2]) — odrzekł pan Andrzej — aby Najświętszej Pannie, utrapionej ojczyźnie i opuszczonemu panu [3]) służyć, przeciw którym dotąd grzeszyłem, co wszystko na spowiedzi świętej wyznam obszernie i o to proszę, abym dziś jeszcze lub jutro do dnia mógł być wyspowiadany, gdyż żal za winy do tego mnie skłania. Nazwisko swoje prawdziwe też powiem ci, ojcze wielebny, pod tajemnicą spowiedzi, nie inaczej, bo

[1]) Ksiądz Augustyn Kordecki.

[2]) Kraj litewski.

[3]) Królowi Janowi Kazimierzowi.

źle do mnie ludzi uprzedza i do poprawy przeszkadzać mi może. Przed ludźmi chcę się zwać Babiniczem, od jednej mojej majętności, przez nieprzyjaciela ogarniętej. Tymczasem ważną przywożę wiadomość, której wysłuchaj, ojcze, cierpliwie, gdyż o ten przybytek święty i o klasztor chodzi!

— Chwalę zamiary waszmości i poprawy życia przedsięwzięcie — odrzekł ksiądz przeor Kordecki. — Co do spowiedzi, nieleniwie chęci twojej dogodzę, a teraz słucham.

— Długom jechał — rzekł na to Kmicic — siła widziałem i namartwiłem się niemało... Wszędy umocnił się nieprzyjaciel, wszędy heretykowie głowę podnoszą, ba, sami nawet katolicy do obozu nieprzyjaciela przechodzą, który tem, jako i zdobyciem dwóch stolic [1]) uzuchwalony, na Jasną Górę teraz świętokradzką rękę podnieść zamierza.

— Od kogo masz waszmość tę wiadomość? — spytał ksiądz Kordecki.

— Nocowałem ostatniej nocy w Kruszynie. Przyjechali tam Weyhard Wrzeszczowicz [2]) i cesarski poseł Lisola, który z dworu brandeburskiego wracał, a do króla szwedzkiego zdążał.

— Króla szwedzkiego niema już w Krakowie — odrzekł na to ksiądz, patrząc przenikliwie w oczy pana Kmicica.

Lecz pan Andrzej powiek nie spuścił i tak mówił dalej:

— Nie wiem ja, czy on jest, czy go niema... Wiem, że Lisola do niego jechał. Obaj rozmawiali przy mnie po niemiecku, nic się mojej obecności nie strzegąc, gdyż nie myśleli, abym mógł ich mowę wyrozumieć, którą ja z dzieciństwa znając tak dobrze, jak i polską, to wymiarkowałem, że Weyhard namawiał, aby klasztor zająć i do skarbca się dostać, na co od króla otrzymał pozwolenie.

— I waszmość to na własne uszy słyszałeś?

— Tak, jako tu stoję.

— Stanie się wola Boska! — rzekł spokojnie ksiądz.

Kmicic zląkł się. Sądził, że ksiądz nazywa wolą Boską rozkaz króla szwedzkiego i o oporze nie zamyśla, więc rzekł zmieszany:

— W Pułtusku widziałem kościół w szwedzkich rękach, żołnierzy w karty w przybytku Bożym grających, beczki piwa na ołtarzach i niewiasty bezwstydne z żołnierzami.

[1]) Kraków i Warszawa.

[2]) Zdrajca.

Ksiądz wciąż patrzył prosto w oczy rycerza.

— Dziwna rzecz — rzekł — szczerość i prawda patrzą ci z oczu...

Kmicic spłonął.

— Niech tu trupem padnę, jeśli to nieprawda, co mówię!

— W każdym razie ważne to wieści, nad któremi naradzić się wypadnie. Waszmość pozwolisz, że poproszę tu starszych ojców i kilku zacnej szlachty, tu u nas teraz mieszkających, którzy nas radą w tych okrutnych czasach wspierają. Waszmość pozwolisz...

— Chętnie przed nimi to powtórzę.

Ksiądz Kordecki wyszedł i po kwadransie wrócił z czterema starszymi ojcami.

Wkrótce potem wszedł pan Róży c-Zamoyski, miecznik sieradzki, człowiek poważny; pan Okielnicki, chorąży wieluński; pan Piotr Czarniecki, młody kawaler o groźnej marsowej twarzy, podobien do dębu ze wzrostu i siły i kilku innej szlachty różnego wieku. Ksiądz Kordecki prezentował im pana Babinicza ze Żmudzi, poczem powtórzył wszem wobec kmicicowe nowiny. Oni zaś dziwili się okrutnie i poczęli mierzyć oczyma pana Andrzeja badawczo i z niedowierzaniem.

Wreszcie po długiej naradzie rzekł przeor:

— Panie kawalerze! Bóg ci zapłać za dobrą intencyę... Jeśliś nas słusznie ostrzegł, wiekopomną będziesz miał zasługę względem Najświętszej Panny i ojczyzny.

*

* *

Nazajutrz zrana dziwny i niezwykły ruch zapanował w klasztorze. Bramy były wprawdzie otwarte i nie tamowano przystępu pobożnym, nabożeństwo odbywało się zwykłym trybem, ale po nabożeństwie nakazano wszystkim obcym opuścić obręb klasztoru. Sam ksiądz Kordecki w towarzystwie pana miecznika sieradzkiego i pana Piotra Czarnieckiego, oglądał szczegółowo blanki i skarpy, podtrzymujące mury z wewnątrz i z zewnątrz. Nakazano też tu i owdzie poprawki; kowale w mieście dostali rozkaz przygotowania osęków, dzid, poosadzanych na długich drągach kos, sztorcem na drzewca zatkniętych, maczug i kłod ciężkich, nabijanych hufnalami.

Ciężkie działa, w liczbie dwunastu, osadzono na nowych lawetach i rychtowano odpowiednio.

Z lamusów klasztornych zakonnicy i pachołkowie wynosili kule, które układano w stosy przy armatach; wytaczano jaszcze

z prochem, rozwiązywano snopy muszkietów i rozdawano je między załogę. Na wieżach i narożnikach stanęły straże, mające dawać dniem i nocą pilne baczenie na okolicę; oprócz tego ludzie wysłani na zwiady rozbiegli się po okolicy.

Do obficie i tak zaopatrzonych spiżarni klasztornych, szły zapasy z miasta, z Częstochówki i innych wsi do klasztoru należących.

Pogłoska gruchnęła jak grom po całej okolicy. Mieszczanie i chłopi poczęli się zbierać a radzić. Wielu nie chciało wierzyć, aby jakikolwiek nieprzyjaciel śmiał targnąć się na Jasną Górę.

Kmicic z radością w sercu patrzał na przygotowania wojenne, na musztrujących się żołnierzy. Wśród tych groźnych machin, wśród krzątaniny, przygotowań i gorączki wojennej było mu dobrze, lekko i wesoło.

Bo też ci ludzie, te białe mnichy i ta garść chłopów i szlachty, gotowali się poprostu do obrony, do walki na śmierć i życie. Jedyny to był kąt taki w Rzeczypospolitej i właśnie pan Andrzej do niego zajechał, jakoby go jaka szczęśliwa gwiazda prowadziła. Bo przytem wierzył święcie w zwycięstwo, choćby cała potęga szwedzka miała otoczyć te mury. W sercu miał tedy modlitwę, radość i wdzięczność.

W tem usposobieniu chodził po murach, z jasną twarzą, rozpatrywał się, przyglądał i widział, że dobrze się dzieje. Okiem znawcy wnet poznał z samych przygotowań, że czynią je ludzie doświadczeni, którzy potrafią pokazać się i wówczas, gdy przyjdzie do sprawy. Podziwiał spokój księdza Kordeckiego, dla którego głębokie powziął uwielbienie; podziwiał stateczność pana miecznika sieradzkiego i pana Czarnieckiego.

Noc nastała ciemna i dżdżysta. Był to ósmy listopada. Nadchodziła wczesna zima i wraz z falami deszczu leciały na ziemię pierwsze płatki rozmokłego śniegu. Ciszę przerywały tylko przeciągłe głosy straży, wołające od baszty do baszty: „czuwaaaj!“ — w ciemnościach przemykał się tu i owdzie biały habit księdza Kordeckiego. Kmicic nie spał; był na murach przy panu Czarnieckim, z którym gwarzyli o przebytych wojnach.

Nagle Kmicic począł nasłuchiwać pilnie.

— Idą! — rzekł nagle.

— Co? Na Boga! Co waćpan mówisz?

— Jazdę słyszę.

— To jeno wiatr z deszczem tętni.

— Na rany Chrystusa! to nie wiatr, to konie! Ucho mam wprawne okrutnie. Idzie moc jazdy... i blisko już są, jeno wiatr właśnie głuszył. Rata! rata!!!

Głos Kmicica zbudził drzemiące w pobliżu i skostniałe straże, lecz jeszcze nie przebrzmiał, gdy w dole, w ciemności ozwały się przeraźliwe dźwięki trąb i poczęły grać długo, żałośnie, strasznie. Zerwali się wszyscy ze snu w osłupieniu, w przerażeniu i pytali się siebie wzajem:

— Zali to nie trąby na sąd grają w tej głuchej nocy?...

Poczem zakonnicy, żołnierze, szlachta, poczęli wysypywać się na majdan[1]). Dzwonnicy pobiegli do dzwonów i wkrótce ozwały się wszystkie: wielkie, mniejsze i małe, jakby na pożar, mieszając swe jęki z odgłosem trąb, które grać nie ustawały.

Nakoniec umilkli; jeden z nich oderwał się od szeregu i powiewając białą chustą, zbliżył się do bramy.

— W imieniu jego królewskiej mości — zawołał trębacz — najjaśniejszego króla Szwedów, otwórzcie!

— Puścić! — ozwał się głos księdza Kordeckiego.

Otworzono, ale tylko furtkę w bramie. Jeździec zawahał się przez chwilę, wreszcie zlazł z konia, wszedł w obręb murów i spostrzegłszy gromadkę białych habitów, spytał:

— Który pomiędzy wami jest przełożonym zakonu?

— Jam jest! — rzekł ksiądz Kordecki.

Jeździec podał mu pismo z pieczęciami, sam zaś rzekł:

— Pan hrabia będzie u świętej Barbary[2]) oczekiwał na odpowiedź.

Ksiądz Kordecki wezwał natychmiast na naradę zakonników i szlachtę.

W drodze rzekł pan Czarnecki do Kmicica:

— Pójdź i ty!

— Pójdę jeno przez ciekawość — rzekł pan Andrzej — bo zresztą nic tam po mnie! Nie gębą ja chcę odtąd Najświętszej Pannie służyć!

Gdy zasiedli wszyscy, ksiądz Kordecki oderwał pieczęcie i czytał, a była to namowa Wrzeszczewicza do podania się Szwedom, bo inaczej generał Miller klasztor zdobędzie siłą i zrabuje.

---

[1]) Miejsce obszerne w obrębie murów fortecy.

[2]) Kościół w mieście Częstochowie, poniżej Jasnejgóry.

Ale ksiądz Kordecki rzekł:

— Brońmy się, bracia, bo zaprawdę takiej pomocy nigdy jesze oblężeni nie mieli, jaką my mieć będziemy!

— Z radością gardła damy! — zawołał pan Piotr Czarniecki.

— Nie ufajmy wiarołomnym! Nie ufajmy heretykom, ani tym z katolików, którzy u złego ducha służbę przyjęli! — wołały inne głosy.

Postanowiono wysłać dwóch księży do Wrzeszczowicza z oświadczeniem, że bramy zostaną zamknięte i że oblężeni bronić się będą.

Posłowie, wyszli za bramy, reszta oczekiwała ich z biciem serca w refektarzu [1]).

Lecz ledwie upłynęło pół godziny, dwaj ojcowie ukazali się znów przed radą. Głowy ich były zwieszone na piersi, w twarzach mieli smutek i bladość. Milcząc, podali księdzu Kordeckiemu nowe pismo Wrzeszczowicza, a ten wziął je z ich rąk i odczytał głośno. Było tam ośm punktów kapitulacyi [2]), pod którymi Wrzeszczowicz wzywał zakonników do poddania klasztoru.

Skończywszy czytać, przeor popatrzył długo w twarze zgromadzonych, nakoniec rzekł uroczystym głosem:

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! W imię Najczystszej i Najświętszej Bogarodzicielki! Na mury bracia ukochani!

— Na mury! na mury! — rozległ się jeden okrzyk.

W chwilę potem jasny płomień oświecił podnóże klasztoru. Wrzeszczowicz kazał zapalić zabudowania przy kościele świętej Barbary. Pożar ogarnąwszy stare domostwa, wzmagał się z każdą chwilą

Przy blasku ognia widać było oddziały konnych żołnierzy, przenoszących się szybko z miejsca na miejsce. Rozpoczęły się zwykłe swawole żołnierskie. Rajtarowie wygnali z obór bydło, które biegając w przerażeniu, napełniało żałosnym rykiem powietrze; owce zbite w gromady, cisnęły się naoślep do ognia. Woń spalenizny rozeszła się na wszystkie strony i dosięgła wyniosłości murów klasztornych.

Pan Kmicic stał obok pana Czarnieckiego właśnie wprost kościoła i widział wszystko doskonale. Na jagody wystąpiły mu silne rumieńce, oczy stały się do dwóch świec podobne, a w ręku dzierżył łuk wyborny, który w spadku po ojcu dostał. Słuchał tedy pogróżek i wymysłów, a wreszcie, gdy olbrzymi rajtar przpadł pod skałę i począł wrzeszczeć, zwrócił się pan Andrzej do Czarnieckiego:

— Na Boga! przeciw Najświętszej Pannie bluźni... Ja niemiecką mowę rozumiem... bluźni strasznie!... Nie wytrzymam.

Jednocześnie rozległ się świst okrutnej strzały; rajtan opuścił muszkiet, podniósł obie ręce do góry, zadarł głowę i zwalił się na wznak. Przez chwilę rzucał się jak ryba wyjęta z wody i kopał ziemię nogami, lecz wnet wyciągnął się i pozostał bez ruchu.

W tymże czasie ozwały się polowe armatki, które Wrzeszczowicz ze sobą przyprowadził. Nie mógł on z nich zburzyć fortecy, jak również nie mógł myśleć o zdobyciu jej, mając ze sobą tylko jazdę, ale na postrach księżom walić kazał. Jednakże początek był dany.

Ksiądz Kordecki pojawił się przy panu Czarnieckim.

Przeor przeżegnał działo.

Huk wstrząnął powietrzem i dym widok zasłonił. Po chwili jednak wiatr go rozniósł. W luce między budynkami nie było już ani jednego jeźdźca. Kilku wraz z końmi leżało, inni pierzchli.

Zakonnicy poczęli śpiewać na murach. Trzask zapadających się budynków przy św. Barbarze wtórował pieśni.

Trąby znów zagrały w szeregach Wrzeszczowicza, lecz odgłos ich począł się oddalać. Pożar dogasał. Ciemność ogarniała podnóże Jasnej Góry. Tu i owdzie ozwało się rżenie koni, ale coraz dalsze, słabsze. Wrzeszczowicz cofał się ku Krzepicom.

Ksiądz Kordecki ukląkł na murze.

— Maryo! — Matko Boga jedynego! — rzekł silnym głosem — spraw, aby ten, który po nim nadejdzie, oddalił się również ze wstydem i próżnym gniewem w duszy.

Gdy tak się modlił, chmury nagle przerwały się nad jego głową i jasny blask miesiąca pobielił wieże, mury, klęczącego przeora i zgliszcza spalonych przy świętej Barbarze budowli.

* * *

Następnego dnia spokój zapanował pod stopami Jasnej Góry, z czego korzystając zakonnicy, tem gorliwiej zajęli się przygotowaniem do obrony. Czyniono ostatnie poprawki w murach i przygotowywano jeszcze więcej narzędzi, służących do odparcia szturmów.

Ksiądz Kordecki dwoił się i troił. Odprawiał nabożeństwo, zasiadał na radach, nie

[1]) Wielka sala obrad w klasztorze.

[2]) Poddania się.

opuszczał chórów dziennych i nocnych, a w przerwach obchodził mury, rozmawiał ze szlachtą i wieśniakami, a przytem w twarzy i całej postawie miał taki jakiś spokój, jaki prawie tylko kamienne posągi mieć mogą. Patrząc na jego oblicze, pobladłe od niewywczasów, można było sądzić, że ten człowiek śpi snem słodkim i lekkim; lecz niemal wesołość paląca się w oczach, usta poruszające się modlitwą zwiastowały, że czuwa i myśli i modli się i ofiaruje za wszystkich. Gdzie zabielał jego habit, tam pogoda czyniła się na twarzach ludzkich, oczy się śmiały, a usta powtarzały: „Ojciec nasz dobry, pocieszyciel, obrońca, nadzieja nasza“. Całowano jego ręce i habit, on zaś uśmiechał się jak zorza i szedł dalej, a koło niego, nad nim i przed nim szła ufność i pogoda.

Jednak i ziemskich środków ratunku nie zaniedbywał; ojcowie wchodzący do jego celi zastawali go, jeśli nie na klęczkach, to nad listami, które na wszystkie strony rozsyłał. Pisał do Wittemberga, głównego komendanta w Krakowie, prosząc o miłosierdzie nad świętem miejscem: i do Jana Kazimierza, który w Opolu ostatnie czynił wysilenia, by niewdzięczny naród ratować; i do pana kasztelana kijowskiego, do Wrzeszczowicza, i do pułkownika Sadowskiego, Czecha i lutra, który pod Müllerem służył, a który duszę mając szlachetną, starał się odwieść groźnego jenerała od napadu na klasztor.

Dwie rady ścierały się z sobą przy Müllerze. Wrzeszczowicz rozdrażniony oporem, jakiego doznał 8-go listopada, dokładał wszelkich usiłowań, aby jenerała skłonić do pochodu; obiecywał w zysku skarby niezmierne, twierdził, że w całem świecie zaledwie jest kilka kościołów, którebyCzęstochowskiemu, w bogactwach sprostać mogły. Sadowski zaś sprzeciwiał się oblężenia klasztoru.

Mimo to pochód na Częstochowę był postanowiony.

Tymczasem zimna zbliżały się szybkim krokiem. Dął ostry północny wiatr, błoto zmieniało się w grudę, a rankami wody, co płytsze, ścinały się w nikłe lodowe skorupki; ksiądz Kordecki, obchodząc mury, zacierał swe zsiniałe ręce i mówił:

— Bóg mrozy w pomoc nam ześle! Ciężko będzie bateryc sypać, podkopy czynić i przytem wy będziecie się do ciepłych izb luzować, a im wiatry zbrzydzą prędko oblężenie!

Lecz właśnie dlatego samego powodu Burchard Müller [1]) pragnął skończyć predko. Widół on ze sobą dziewięć tysięcy wojska, przeważnie piechoty i dziewiętnaście dział.

W dniu 28-go listopada miało się rozpocząć oblężenie. Lecz jenerał szwedzki liczył, że nie potrwa nad parę dni i że drogą układów twierdzę zajmie.

Tymczasem ksiądz Kordecki przygotowywał dusze ludzkie. Przystępowano do nabożeństwa, jakby w wielkie i radosne święto i gdyby nie niepokój i bladość niektórych twarzy, możnaby było przypuszczać, że to wesołe a solenne „alleluja!“ się zbliża. Sam przeor Mszę św. celebrował, ozwały się wszystkie dzwony. Po Mszy św. nabożeństwo nie ustawało jeszcze; wyszła bowiem wspaniała procesya na mury.

Księdza Kordeckiego, niosącego Przenajświętszy Sakrament, prowadzili pod ręce miecznik sieradzki i pan Piotr Czarniecki. Przodem szły pacholęta w komżach, niosące trybularze na łańcuszkach, bursztyn i mirrę. Przed i za baldachimem postępowały szeregi białej braci zakonnej, ze wzniesionemi ku niebu głowami i oczyma. Żółte płomyki świec chwiały się na wietrze, a oni szli i śpiewali, zatopieni całkiem w Bogu, jakoby niczego więcej na tym świecie niepamiętni. Za nimi widziałeś pogolone głowy szlacheckie, zapłakane oblicza niewiast. Szli i chłopi w sukmanach, długowłosi, do pierwszych chrześcijan podobni, małe dzieci, dziewczęta i chłopcy, łączyli swe anielskie, cienkie głosiki z ogólnym chórałem. I Bóg słuchał tych pieśni, tego wylania serc, tego uciekania się z pod ucisków ziemskich pod jedyną ochronę skrzydeł Bożych. Wiatr ucichł, uspokoiło się powietrze, niebo wybłękitniało, a słońce jesienne rozlało łagodne, bladozłote, lecz ciepłe jeszcze światło na ziemię.

Orszak obszedł raz mury; lecz nie wracał, nie rozpraszał się — szedł dalej. Blaski od monstrancyi padały na twarz przeora, a ta twarz wydawała się od nich jakoby złota także i promienista. Ksiądz Kordecki oczy trzymał przymknięte, a na ustach miał nieziemski prawie uśmiech szczęścia, słodyczy, upojenia; duszą był w niebie, w jasnościach, w odwiecznem weselu, w niezmąconym spokoju. Lecz chwilami zatrzymywał się, otwierał oczy, wznosił monstrancyę i błogosławił.

Więc błogosławił lud, wojsko, chorągwie kwitnące, jak kwiaty, a migotliwe jak tęcza; potem błogosławił mury i wzgórza na okolice

---

[1]) General szwedzki.

patrzące, potem błogosławił działa mniejsze i większe, kule ołowiane, żelazne, naczynia z prochem, potem błogosławił wioskom na dalekościach leżącym i błogosławił północy, południu, wschodowi i zachodowi, jak gdyby chciał na całą okolicę, na całą tę ziemię moc Bożą rozciągnąć.

Biła godzina druga z południa, procesya była jeszcze na murach. A wtem na krańcach, w mgłach zamajaczało coś i poczęło się poruszać, wypełzały jakieś kształty. Okrzyk nagle uczynił się na końcu procesyi:

— Szwedzi! Szwedzi idą!

Potem zapadła cisza, jakby serca i języki zdrętwiały; dzwony tylko biły dalej. Lecz w ciszy zabrzmiał głos Kordeckiego, donośny, choć spokojny:

— Bracia, radujmy się! godzina zwycięstw i cudów się zbliża!

A w chwilę później:

— Pod Twoję obronę uciekamy się, Matko, Pani, Królowo nasza!

Tymczasem chmura szwedzka zmieniła się w niezmiernego węża, który przypełzał jeszcze bliżej.

Najprzód szła jazda, za nią czworoboki piechoty.

Groźny ale piękny to był widok tego pochodu regularnego wojska, które jakby dla postrachu szło przed oczyma Jasnogórców. Następnie od całości oderwała się jazda i szła kłusem, kolebając się, jak poruszana wiatrem fala.

Tętent i rżenie koni, krzyki, nawoływania, szmer kilku tysięsy głosów i głuchy hurkot armat dolatywały doskonale do uszu oblężonych, którzy dotychczas stali spokojnie na murach, jakby na widowisku, spoglądając zdziwionemi oczyma na ów wielki ruch i krętaninę wojsk nieprzyjacielskich.

Doszły wreszcie pułki piechotne i poczęły szukać miejsc najodpowiedniejszych do umocnienia się w pozycyach. Tymczasem uderzono na Częstochowę, folwark przległy klasztorowi, w którym nie było wojska, jeno chłopi pozamykani w chałupach.

Szwedzi uderzyli z wściekłością na bezbronne chłopstwo. Wyciągano ich za włosy z chałup i poprostu zarzynano opornych; resztę ludności wypędzono z folwarku; jazda uderzyła na nią i rozegnała na cztery wiatry.

Ryk dział wstrząsnął powietrzem, aż mury klasztorne zadrżały, a szyby w kościele i zabudowaniach poczęły dźwięczeć. Kule ogniste, w postaci białawych chmurek, padały na schroniska szwedzkie, łamały krokwie, dachy, ściany i wnet słupy dymu podnosiły się z miejsc, w które kule padały.

Pożar ogarniał budynki.

Szwedzi nie spali w nocy; czynili przygotowania, sypali baterye pod armaty, napełniali kosze ziemią, urządzali obóz. Żołnierz, lubo przez tyle lat wojny i w tylu bitwach zaprawiony, a z natury dzielny i wytrwały, nie czekał radośnie dnia następnego. Pierwszy dzień przyniósł klęskę.

Armaty klasztorne wyrządziły tak znaczne szkody w ludziach, że najstarsi wojownicy w głowę zachodzili.

Ledwie tedy rozbłysło na niebie, rozpoczęła się walka artyleryi; lecz tym razem pierwsze zagrały działa szwedzkie.

Na mury klasztorne wyszła znów procesya, bo nic tak nie krzepiło walczących, jak widok Przenajświętszego Sakramentu i spokojnie z nim idących zakonników. Działa klasztorne odpowiadały grzmotom na grzmot, błyskawicami na błyskawice, ile mogły, ile ludziom sił i tchu w piersiach starczyło. Ziemia też zdawała się trząść w posadach. Morze dymu rozciągnęło się nad klasztorem i kościołem.

Około południa dzieło śmierci wzmogło się jeszcze. Zdawać się mogło, że gdy dymy opadną, oczy szwedzkie ujrzą tylko stos kul i granatów na miejscu klasztoru. Kurzawa wapienna ze ścian obitych kulami, wzbijała się i mieszając się z dymami, przesłaniała świat.

Nagle na wieży, ozwały się trąby wspaniałą harmonią pobożnej pieśni. Płynęła z góry ta pieśń i słychać ją było naokół, słychać wszędy, aż na bateryach szwedzkich. Do dźwięku trąb dołączyły się wkrótce głosy ludzkie i wśród ryku, świstu, okrzyków, łoskotu, grzmotania muszkietów, rozlegały się słowa:

Bogarodzica, Dziewica,
Bogiem sławiona Marya!...

Kmicic, stojąc na murach przy dziale naprzeciw wsi Częstochowy, w której były stanowiska Müllera i skąd największy szedł ogień, odtrącił mniej wprawnego puszkarza i sam pracować zaczął. A pracował tak dobrze, że wkrótce, chociaż to był listopad i dzień chłodny, zrzucił tołub[1]) lisi, zrzucił żupan i w samych tylko szarawarach i koszuli pozostał.

Ludziom nieobeznanym z wojną, rosło serce na widok tego żołnierza z krwi i kości, dla

[1]) Wierzchni płaszcz.

którego to wszystko, co się działo, zdawało się być zwyczajnym żywiołem.

Do południa ani odetchnął. Pot zlewał mu czoło, koszula dymiła; twarz miał uczernioną sadzą, a oczy świecące.

O godzinie trzeciej na bateryi szwedzkiej zamilkło drugie działo, rozbite celnym Kmicicowym strzałem. Resztę pozostałych ściągnięto w jakiś czas później z szańców.

*
* *

Walka na armaty nie przeszkadzała wcale układom. Postanowili korzystać z nich ojcowie za każdym razem, chcąc doczekać się jakiejkolwiek pomocy, albo przynajmniej zimy surowej. Müller zaś nie przestawał wierzyć, że zakonnicy pragną tylko najlepsze warunki wytargować.

Wieczorem więc, po owej strzelaninie, wysłał znów pułkownika Kuklinowskiego z wezwaniem do poddania się.

Nadeszła niedziela, święto Ofiarowania Najświętszej Panny. W nabożeństwie nie było przeszkody, bo Müller oczekiwał na ostateczną odpowiedź, którą zakonnicy obiecali przysłać po południu.

List wysłano o godzinie drugiej, ale nie z poddaniem się, tylko z odpowiedzią, iż się nie poddadzą.

Müller, który czynił prędko, ale myślał powoli, wyrozumiał sens listu, poczerwieniał i rzekł:

— Więc do szańców! Mało było wczoraj ognia i kul!

Tym razem działa szwedzkie lepiej ustawione, większą poczęły czynić szkodę. Sypały się bomby ładowne prochem, ciągnące za sobą warkocz płomienia. Rzucano także rozpalone pochodnie i kłęby konopi przesiąkniętych żywicą.

Najcięższe bomby przebijały nawet i pułapy. Mimo nadludzkich wysileń, mimo czujności, zdawało się, że pożoga prędzej czy później musi ogarnąć klasztor.

Ledwie pogaszono jedne pociski, ledwie wody spłynęły po zrębach, leciały nowe stada rozpalonych kul, płonących szmat, skier żywego ognia. Cały klasztor był nim objęty, rzekłbyś, niebo otworzyło się nad nim i ulewa piorunów nań spada; jednak gorzał a nie palił się, płonął i nie zapadał w rumowisko; co więcej, wśród tego morza płomieni śpiewać począł, jak ongi młodzieńcy w piecu ognistym.

Godzina jedna upłynęła, potem druga. Z wieży kościelnej rozlegała się ciągle uroczysta muzyka.

Müller stał i patrzył długo.

Obecni zauważyli, że ręka drżała mu coraz silniej; nakoniec zwrócił się do obecnych i zakrzyknął:

— Strzały nie szkodzą wcale kościołowi!

Tu gniew niepohamowany, szalony, ogarnął starego wojownika.

— Wścieknę się od tej muzyki! — wrzasnął.

Nadeszła noc, działa grzmiały bezustanku; lecz klasztorne odpowiadały żywo, żywiej nawet, niż w dzień.

Wybiła godzina pierwsza i druga. Począł mżyć drobny deszcz w postaci mgły zimnej, a przenikliwej, która zbijała się miejscami jakoby w słupy, czerwieniące się od ognia.

Noc ciężkie przyniosła straty Szwedom. Oblężeni, jakby chcąc okazać, że snu nie potrzebują, strzelali coraz gęściej.

Brzask oświecił na murach twarze zmęczone, blade, bezsenne, ale ożywione gorączką. Ksiądz Kordecki w nocy leżał krzyżem w kościele; skoro świt, pojawił się na murach i błogi głos jego rozlegał się przy działach, koło bram:

— Bóg dzień czyni, dzieci... Niech będzie światło Jego błogosławione! Niema szkód ni w kościele, ni w zabudowaniach... Ogień ugaszony, życia nikt nie stracił.

Gdy rankiem oficerowie donieśli Müllerowi, że skutek nocnej strzelaniny jest żaden, lecz owszem im samym przyniósł znaczne szkody w ludziach, jenerał zaciął się i kazał dalej ogień prowadzić.

Przeszedł więc dzień do wczorajszego podobny, pełen grzmotów, dymu i płomienia. Wiele jeszcze takich miało przejść ponad Jasnogórą. Lecz oni gasili pożary i strzelali z niemniejszem męstwem. Połowa żołnierzy szła na spoczynek, druga połowa była na murach przy działach.

Ludzie poczęli oswajać się z ustawicznym hukiem, zwłaszcza, gdy przekonali się, że szkód wielkich niema.

Zgodnie z życzeniami swych oficerów, Müller znowu rozpoczął układy. Przybył do klasztoru z nieprzyjacielskiego obozu znamienity szlachcic polski, poważny wiekiem i wymową. Jasnogórcy przyjęli go gościnnie, sądzili bowiem, że z musu tylko będzie przemawiał za poddaniem klasztoru, a naprawdę doda im zachęty i potwierdzi nowiny, które już i przez mury oblężone się przedarły, o powstaniu w Wielkopolsce, o zniechęceniu wojsk

dla Szweda, o układach Jana Kazimierza z Kozakami, którzy jakoby okazywali chęć powrotu do posłuszeństwa, wreszcie o groźnej zapowiedzi chana tatarskiego, że idzie w pomoc wygnanemu królowi i wszystkich jego nieprzyjaciół ogniem i mieczem ścigać będzie.

Ale on naprawdę namawiał ich do poddania.

— Czekam waszej odpowiedzi, ojcowie! — rzekł wreszcie zdrajca, spuszczając głowę na piersi.

Wtem ksiądz Kordecki powstał i głosem, w którym nie było najmniejszego wahania, rzekł, jakby w proroczem widzeniu:

— To, co waszmość mówisz, że Jan Kazimierz nas opuścił, to kłamstwo! W serce wygnanego naszego pana wstąpiła nadzieja i nigdy gorliwiej, jak w tej chwili, nie pracował, by ojczyźnie ratunek zapewnić, tron odzyskać i nam pomoc w ucisku przynieść.

Nastała chwila głuchego milczenia, wreszcie zdrajca wstał i wyszedł z definitoryum. Przesunął się szybko przez podwórce klasztorne, a gdy się znalazł za bramą, począł biedz prawie, jakby go coś gnało od klasztoru do Szwedów.

* * *

Kraj cały był jako okręt pogrążony już w otchłani, a jeno ów klasztor sterczał jeszcze jak koniec masztu nad falami. Czyli więc mogli rozbitkowie, do tego masztu uczepieni, myśleć jeszcze nietylko o własnem ocaleniu, ale o wydobyciu całego okrętu zpod toni?

Wedle ludzkich obrachowań, nie mogli.

Jakoż co noc cała wieża wyglądała jak jedna olbrzymia pochodnia. Wprawdzie ułatwiało to Szwedom strzelanie do niej, ale mogło posłużyć za znak, że twierdza broni się jeszcze, gdyby wypadkiem jakie wojsko oblężonym na pomoc przyciągało.

Tak więc nietylko zamiary poddania spełzły na niczem, ale zabrano się jeszcze gorliwiej do obrony. Chodził ksiądz Kordecki po murach, jak pasterz po owczarni, widział, że wszystko jest dobrze i uśmiechał się błogo, chwalił naczelników i żołnierzy.

W ten sposób oblężenie przewłóczyło się, a zima nadchodziła coraz sroższa. Na szczytach Tatrów chmury wysiadywały w przepaścistych gniazdach zawieruchę, mróz, śniegi wytaczały się na kraj, wiodąc za sobą swe iodowate potomstwo. Nocami Szwedzi tulili się do mdłych ognisk, woląc ginąć od kul klasztornych, niż marznąć!

Twarda ziemia utrudniała sypanie szańców i czynienie podkopów. Oblężenie nie postępowało. Nietylko oficerowie, ale całe wojsko miało na ustach jedno tylko słowo: „układy“.

Udawali więc księża najprzód, że się chcą poddać. Przyszli do Müllera w poselstwie ojcowie. Ci uczynili Müllerowi niejaką nadzieję zgody. Ledwie to usłyszał, aż ręce otworzył i gotów był porwać ich z radości w objęcia. Już bowiem nie o Częstochowę, już o cały kraj chodziło. Poddanie się Jasnej Góry byłoby odebrało resztkę nadziei patryotom i ostatecznie popchnęło Rzeczpospolitą w objęcia króla szwedzkiego, gdy przeciwnie opór i to opór zwycięski, mógł zmienić serca, umysły i wywołać straszliwą nową wojnę.

Oznak naokół nie brakło. Müller wiedział o tem i czuł, w co się wdał, jak straszna zaciężyła na nim odpowiedzialność; wiedział, że albo czeka go łaska królewska, zaszczyty, tytuły, albo ostateczny upadek. Że zaś i sam już zaczął przekonywać się, że tego „orzecha“ nie zgryzie, przyjął więc księży z niesłychaną uprzejmością. Zaprosiwszy ich na ucztę, sam pił za ich zdrowie, a również za zdrowie przeora i pana miecznika sieradzkiego; obdarzył ich rybami dla klasztoru, nakoniec podał warunki poddania się tak łaskawe, że ani na chwilę nie wątpił, że ze skwapliwością zostaną przyjęte.

Ojcowie podziękowali pokornie, jak na zakonników przystało; wzięli papier i odeszli.

Jakkolwiek Müller starym był i wytrawnym wojownikiem, jednakże biło mu serce niespokojnie, gdy następnego ranka ujrzał dwa białe habity, zbliżające się do kwatery, którą zajmował.

Byli to nie ci sami ojcowie; przodem szedł ksiądz Maciej Błeszyński, niosąc pismo z pieczęcią; za nim postępował ojciec Zacharyasz Małachowski, z rękami skrzyżowanemi na piersiach, ze spuszczoną głową i z twarzą lekko pobladłą.

Jenerał przyjął ich w otoczeniu sztabu i wszystkich znamienitych pułkowników i odpowiedziawszy uprzejmie na pokorny ukłon ojca Błeszyńskiego, wyjął mu szybko list z ręki, rozerwał pieczęcie i począł czytać.

Lecz wnet strasznie zmieniła się twarz jego: fala krwi uderzyła mu do głowy, oczy wyszły na wierzch, kark napęczniał i straszliwy gniew zjeżył mu włosy. Przez chwilę

mowę nawet mu odjęło, ręką tylko wskazał na list, a po chwili rzekł:

— Oświadczają mnisi, że dopóty nie mogą się wyrzec Jana Kazimierza, dopóki prymas[1]) nowego króla nie ogłosi, czyli inaczej mówiąc, nie chcą uznać Karola Gustawa.

Wtem Müller począł uderzać dłonią po kolanie i krzyczeć:

— Wziąć mi te golone pałki i zamknąć, a niech aby z jednego działa dadzą z murów ognia, obydwóch mnichów każę natychmiast powiesić!

Prowadzono tedy obu księży: ojca Błeszyńskiego i ojca Małachowskiego, wśród szyderstw i naigrawań się żołnierzy. Oni obaj szli cicho z rękami złożonemi na piersiach, z modlitwą na ustach. Zamknięto ich wreszcie w stodole drżących od zimna, sponiewieranych; naokoło zaś stanęły straże z muszkietami.

Pod klasztorem otrąbiono groźbę Müllera. Zlękli się ojcowie, zdrętwiało ze zgrozy wojsko całe. Działa umilkły; rada zebrana, nie wiedziała co począć. Zostawić ojców w barbarzyńskich rękach niepodobna; posłać drugich, to ich Müller znowu zatrzyma. Wszelako w kilka godzin później sam on przysłał posłańca z zapytaniem, co mnisi myślą uczynić?

Odpowiedziano mu, że póki ojców nie uwolni, żadne układy nie mogą mieć miejsca, bo jakże zakonnicy mogą wierzyć, że jenerał dotrzyma im warunków, jeżeli wbrew kardynalnemu prawu narodów więzi posłów, których nietykalność barbarzyńskie nawet ludy szanują.

Na to oświadczenie nie było prędkiej odpowiedzi, straszna niepewność zaciężyła więc nad klasztorem i zmroziła zapał w obrońcach.

Wojska zaś szwedzkie, ubezpieczone przez zatrzymanie jeńców, pracowały gorączkowo nad zbliżeniem się do niedostępnej dotąd twierdzy. Sypano na gwałt nowe szańce, stawiano kosze z ziemią, ustawiano armaty. Zuchwałe żołnierstwo podsuwało się pod mury na pół strzału z rusznicy. Wygrażali kościołowi, obrońcom. Wpół pijani żołdacy krzyczeli, wznosząc ręce ku murom:

— Poddajcie klasztor, albo wiedzcie, że wasze mnichy wisieć będą!

Inni bluźnili strasznie przeciwko Bogarodzicy i wierze katolickiej. Oblężeni, ze względu na życie ojców, słuchać musieli cierpliwie. Kmicicowi wściekłość zapierała oddech w piersi. Darł włosy w czuprynie, szaty na sobie i łamiąc ręce, powtarzał do pana Piotra Czarnieckiego:

— Ot, mówiłem, mówiłem, na co układy ze złodziejami! Teraz stój, cierp! a oni lazą w oczy, a bluźnią... Matko Boża! zmiłuj się nade mną, daj mi wytrwanie!.. Na Boga żywego! niezadługo na mury zaczną leść!... Trzymajcieże mnie, okujcie mnie, jak zbója, bo nie wytrzymam!

Tamci zaś zbliżali się coraz bardziej i bluźnili coraz śmielej.

Wreszcie obaj posłowie usłyszeli wyrok śmierci i tego samego dnia jeszcze zaczęto wznosić szubienicę na oczach całego klasztoru. Jednocześnie żołdacy, korzystając z zawartego zawieszenia broni, cisnęli się jeszcze bliżej murów, nie przestając szydzić, urągać, bluźnić, wyzywać. Całe tłumy ich wdzierały się na górę; stali tak gęsto, jakoby zamierzali iść do szturmu.

Wtem pan Kmicic nie wytrzymał i gruchnął z działa w największą kupę, tak skutecznie, że pokotem położył tych wszystkich żołnierzy, którzy się naprzeciw wylotu znajdowali. Było to jakby hasło, bo naraz, bez rozkazów, a nawet wbrew im, zagrały wszystkie działa, huknęły rusznice i garłacze.

Szwedzi zaś wystawieni ze wszech stron na ogień, z wyciem i rykiem uciekać poczęli od twierdzy, gęsto po drodze trupem padając.

Kmicic ani się spodziewał, że swemi strzałami uratował życie ojcom, bo wskutek nich Müller stanowczo przekonał się, że zakonnicy w ostatnim razie istotnie gotowi są dla dobra kościoła i klasztoru, poświęcić dwóch współbraci. Strzały wbiły mu przytem do głowy i tę myśl, że jeśli włos spadnie z głowy posłów, tedy już nic innego, prócz podobnych grzmotów, nie usłyszy ze strony klasztoru.

I nazajutrz zaprosił obydwóch uwięzionych zakonników na obiad, następnego zaś dnia odesłał ich do klasztoru.

Płakał ksiądz Kordecki na ich widok, wszyscy brali ich w ramiona i zdumiewali się, słysząc z ich ust, że właśnie owym wystrzałom winni są ocalenie. Przeor, który poprzednio gniewał się na Kmicica, przywołał go zaraz i rzekł:

— Gniewałem się, bo myślałem, żeś ich zgubił, ale ciebie widocznie Najświętsza Panna natchnęła. Znak to łaski, raduj się!...

— Ojcze najdroższy, kochany, nie będzie już układów? — pytał Kmicic, całując go po rękach.

---

[1]) Arcybiskup gnieźnieński, koronujący królów.

Ale zaledwie to wymówił, ledwie skończył, gdy trąbka ozwała się przy bramie i nowy poseł od Müllera wszedł do klasztoru.

Był to pan Kuklinowski, pułkownik chorągwi ochotniczej włóczącej się ze Szwedami.

Najwięksi warchołowie, bez czci i wiary, służyli w tej chorągwi, a poczęści lutrowie. Tem się tłómaczyła ich przyjaźń dla Szwedów, lecz głównie zagnała ich do Müllerowskiego obozu chęć grabieży i łupów. Gotowi oni byli służyć każdemu, i nieraz prosty tylko wypadek rozstrzygał, po której stawali stronie.

Ojczyzna, wiara, słowem wszystkie świętości, były im zupełnie obojętne. Wyznawali jednę tylko żołnierkę, szukali w niej uciech, rozpusty, korzyści i zapomnienia życia.

Wybrał się więc Kuklinowski w poselstwie, raz dla samego poselstwa, a powtóre, żeby wszystko obejrzeć i tu i owdzie złe ziarno rzucić.

Narada z posłem trwała długo. Uczyniło się ciemno.

Zły był, bo i jemu się nie udało. Księża poddać się nie myśleli...

Müllerowi w głowie nie mogło się pomieścić, dla czego, gdy cały kraj poddał się, to jedno miejsce się broni, co za moc je podtrzymuje, w imię jakich nadziei ci zakonnicy nie chcą ulegnąć, do czego dążą, czego się spodziewają?

Lecz czas płynący przynosił coraz jaśniejsze na owe pytania odpowiedzi. Opór, który się tu począł, szerzył się jak pożar.

Spostrzegł jenerał wreszcie, o co księdzu Kordeckiemu chodziło, że więc nie o owo gniazdo skaliste, nie o Jasną Górę, nie o skarby nagromadzone w zakonie, nie o bezpieczeństwo zgromadzenia — ale o losy całej Rzeczypospolitej. Spostrzegł Müller, że ów ksiądz cichy, wiedział, co czynił, że powstał jako prorok, aby zaświecić krajowi przykładem, by głosem potężnym zawołać na wschód i zachód, na północ i południe: sursum corda!— by, czy to zwycięstwem swojem, czy śmiercią i ofiarą obudzić śpiących ze snu, obmyć grzesznych, uczynić światło w ciemnościach.

Lecz Müller zbyt przywykł mierzyć ludzi i wypadki pospolitą miarą żołnierską, aby chwilami nie chciał pocieszać się jeszcze myślą, że twierdza podda się w końcu. I biorąc rzeczy poludzku, nie mogło się stać inaczej. Przecie król szwedzki przysyłał mu sześć dział burzących najcięższego kalibru, które już pod Krakowem pokazały swą potęgę.

— U licha! — myślał Müller — takie mury nie oprą się takim kolubrynom[1]), a gdy to gniazdo czarów, z dymem się rozwieje, wnet rzeczy wezmą inny obrót i cały kraj się uspokoi.

W oczekiwaniu więc na większe działa, kazał strzelać z mniejszych. Dni walki wróciły. Próżno jednak kule ogniste padały na dachy, próżno najdzielniejsi puszkarze nadludzkie czynili usiłowania. Ilekroć wiatr zwiał morze dymów, klasztor ukazywał się nietknięty, wspaniały jak zawsze, wyniosły, z wieżami, bodącemi spokojnie błękit. Tymczasem zdarzyły się wypadki, szerzące zabobonny przestrach między oblegającymi. To kule przelatywały ponad całą górą i raziły stojących z drugiej strony żołnierzy; to puszkarz, zajęty rychtowaniem działa, padał nagle; to dymy układały się w straszne i dziwaczne postacie; to prochy w jaszczach zapalały się nagle, jakby niewidomą ręką podpalone.

Prócz tego ginęli ciągle żołnierze, którzy pojedynczo, samotwór, albo samotrzeć wychylali się z obozu.

Klasztor zaś bronił się coraz lepiej.

Pewnego rana popłoch wszczął się między Szwedami: żołnierze bowiem ujrzeli wyraźnie niewiastę w błękitnym płaszczu, osłaniającą kościół i klasztor. Na ten widok rzucili się pokotem twarzami na ziemię. Próżno nadjechał sam Müller, próżno tłumaczył im, że to mgły i dymy ułożyły się w ten sposób; próżno wreszcie groził sądem i karami; w pierwszej chwili nikt nie chciał go słuchać, zwłaszcza, że sam jenerał nie umiał ukryć przerażenia.

Rozszerzyło się wnet po tym wypadku w całem wojsku mniemanie, że nikt z tych, którzy w oblężeniu brali udział, swoją śmiercią nie umrze. Wielu oficerów podzielało tę wiarę, a i Müller nie był wolny od obaw, sprowadził bowiem ministrów[2]) luterskich i kazał im czary odczyniać. Chodzili tedy po obozie, szepcąc i śpiewając psalmy; przestrach jednak tak się już rozszerzył, że nieraz było usłyszeć z ust żołnierzy: „Nie wasza moc, nie wasza potęga!“

* * *

Byłto właśnie dzień Niepokalanego Poczęcia.

Po nabożeństwie rozpoczęły się obustronne strzały. Był pewien żołnierz szwedzki, który częstokroć podchodził pod mury i tubalnym

---

[1]) Olbrzymie działa burzące mury.
[2]) Księży.

głosem bluźnił przeciw Bogarodzicy. Częstokroć też strzelali doń obleżeni, zawsze bez skutku. Kmicicowi, gdy go raz na cel brał, pękła cięciwa, żołdak zaś rozzuchwalał się coraz więcej i innych jeszcze odwagą swą zachęcał. Mówiono o nim, że ma siedmiu szatanów na usługi, którzy go strzegą i zasłaniają.

W dniu owym znów on przyszedł bluźnić, lecz oblężeńcy, dufając, że jako w dzień Niepokalanego Poczęcia czary mniejszą siłę mieć będą, postanowili koniecznie go ukarać. Strzelano doń dość długo bezskutecznie, nakoniec kula armatnia, odbita od lodowego wału, podskakując po śniegu nakształt ptaka, uderzyła go w same piersi i rozerwała na dwoje. Ucieszyli się tem obrońcy i chełpiąc się wołali z murów: „Który jeszcze przeciw Niej bluźnić będzie?“ — atoli tamci pierzchli w popłochu aż do przykopów.

Szwedzi strzelali do murów i na dachy. Lecz kule ich nie zdołały przestraszyć obrońców.

Tak dwa całe dni zeszło na próżnej strzelaninie. Aż przyszła noc tak ciemna, że mimo ognisk, beczek ze smołą, oblężeni nie mogli nic widzieć.

Tymczasem między Szwedami panował jakiś ruch niezwyczajny. Słychać było skrzyp kół, gwar głosów ludzkich, czasem rżenie koni i rozmaite inne hałasy. Żołnierze na murach odgadywali łatwo, co się dzieje.

— Działa nadeszły, nie może inaczej być!— mówili jedni.

— I szańce sypią, a tu ćma taka, że palców u własnej ręki nie dojrzysz.

Nakoniec ukazał się dzień i pierwsze jego blaski odkryły robotę szwedzką. Z północy i z południa stanęły szańce, nad któremi kilka tysięcy ludzi pracowało. Sterczały one tak wysoko, iż oblężonym zdało się, że szczyty ich leżą na równej linii z murami. Między regularnemi wycięciami wierzchołków widać było olbrzymie paszcze dział i stojących tuż za niemi żołnierzy, podobnych zdala do żółtych ós.

W kościele nie skończyło się poranne nabożeństwo, gdy huk niezwyczajny wstrząsnął powietrzem, szyby zadrżały, niektóre od samego wstrząśnienia wypadły z opraw, rozbijając się przeraźliwym dźwiękiem na kamiennej posadzce, i cały kościół wypełnił się kurzawą, powstałą z opadłego tynku.

Olbrzymie kolubryny przemówiły.

Rozpoczął się straszliwy ogień, jakiego jeszcze nie doznali oblężeni. Po skończonem nabożeństwie wypadli wszyscy na mury i dachy.

Mury otaczające klasztor poczęły się tu owdzie rysować i rozszczepiać, a bite ciągle, bite bez przestanku coraz nowemi pociskami, groziły ruiną. Budynki klasztorne zasypywano ogniem.

Kościół dygotał od ustawicznych wstrząśnień; w niektórych ołtarzach świece wypadły z ołtarzy.

Woda wylewana w niezmiernych ilościach na wszczynające pożary, na rozpłomienione pochodnie, mury i kule ogniste, utworzyła w połączeniu się z dymem i kurzawą kłęby pary tak gęste, że świata z poza nich nie było widać. Poczęły się szkody w budynkach i na murach. Okrzyk „gore!“ rozlegał się coraz częściej wśród huku wystrzałów i świstu kul. Jedna kula ognista wpadłszy do stajen, zabiła trzy konie i wszczęła pożar. Nietylko kule, ale złamki granatów padały tak gęsto, jak deszcz na dachy, na baszty i mury.

Po krótkiej chwili ozwały się jęki rannych. Wyległy na mury nawet niewiasty, dzieci i starcy. Żołnierze stali na murach z nieustraszonem sercem w dymie, ogniu, wśród ulewy pocisków i odpowiadali z zawziętością na ogień nieprzyjacielski.

Niewiasty z rozpuszczonemi włosami, z rozpaloną twarzą, dawały przykład odwagi. Zapał rósł z każdą chwilą, jakby ten zapach prochu, dymu, pary, huk, fale ognia i żelaza miały własność go podsycać. Wszyscy działali bez komendy, bo słowa ginęły wród ogromnego łoskotu. Tylko suplikacye śpiewane w kościele, górowały nawet nad głosami armat.

Około południa ogień ustał. Wszyscy odetchnęli, lecz wnet przed bramą zawarczał bęben i dobosz przysłany przez Müllera, zbliżywszy się do bramy, począł pytać, czyli ojcowie mają dosyć i czy chcą natychmiast się poddać? Odpowiedział sam ksiądz Kordecki, że się do jutra namyślą. Zaledwie odpowiedź doszła do Müllera, atak rozpoczął się nanowo i ogień zdwoił się jeszcze.

Müller nie kazał strzelać do baszt, ale w długość murów, gdzie opór bywa najsłabszy. Jakoż czyniły się gdzieniegdzie znaczne szczerby w murach, niedość jednak wielkie, aby piechota rzucić się przez nie do wnętrza mogła.

Nagle zaszedł wypadek, który położył tamę szturmowi.

Było to już pod wieczór, przy jednem z większych dział stał artylerzysta szwedzki z zapalonym lontem, który właśnie miał do działa przykładać, gdy kula klasztorna ugodziła go w same piersi, i rzuciła go wraz z lontem o kikanaście kroków. Ten upadł na otwarty jaszcz, w części jeszcze napełniony prochem. Wnet huk straszliwy rozległ się i masy dymu pokryły szaniec. Gdy opadły, okazało się, że pięciu artylerzystów straciło życie, koła od armaty zostały uszkodzone, resztę zaś żołnierzy strach ogarnął. Na razie trzeba było ogień z tego szańca zawiesić, ponieważ zaś gęsta mgła przesyciła ciemności, więc zawieszono go i na innych.

Nazajutrz była niedziela.

Ministrowie luterscy oprawiali po okopach swe nabożeństwo i działa milczały. Müller znów pytał ojców: czyli nie mają dosyć? Odpowiedziano, że zniosą i więcej.

Tymczasem oglądano szkody w klasztorze. Były znaczne. Oprócz ludzi zabitych spostrzeżono, że i mur tu i owdzie został nadwątlony. Najstraszniejszą okazała się jedna olbrzymia kolubryna, od południowej strony stojąca. Zbiła ona mur do tego stopnia, nadorywała tyle kamieni, cegieł, że łatwo było przewidzieć, iż jeśli ogień potrwa jeszcze parę dni, znaczna część muru obsunie się i runie.

Wyłomu, jakiby się w takim razie uczynił, nie możnaby już założyć ani belkami, ani ziemią, ani nawozem. To też ksiądz Kordecki spoglądał okiem pełnem troski na owe spustoszenia, którym nie był w stanie zapobiedz.

Tymczasem w poniedziałek poczęto znów atak i olbrzymie działo szerzyło dalej wyłom. Spotykały jednak i Szwedów różne klęski. O zmierzchu tego dnia pocisk zabił na miejscu siostrzeńca Müllera, którego jenerał kochał jak własnego syna. Lecz tem bardziej zapaliło się serce starszego wojownika nienawiścią.

Następnych dni nastała odwilż i mgły roztoczyły się tak gęste, że księża przypisali je działaniu złych duchów. Szwedzi zbliżali się pod same mury klasztorne. Wieczorem Czarniecki, gdy przeor obchodził jak zwykle mury, wziął go na bok i rzekł z cicha:

— Źle, ojcze wielebny. Nasz mur dłużej, niż dzień nie wytrzyma.

— Może też te same mgły i im strzelać przeszkodzą — odrzekł ksiądz Kordecki — a my tymczasem szkody jakoś naprawimy.

— I mgły nie przeszkodzą, bo owo działo raz narychtowane, może prowadzić i po ciemku dzieło zniszczenia, a tu gruzy walą się i walą.

— W Bogu nadzieja i w Najświętszej Pannie.

— Tak jest! A żeby tak wyc eczkę uczynić?... Choćby ludzi natracić, byle tego smoka piekielnego udało się zagwoździć?

Wtem zaczerniała jakaś postać. Kmicic pojawił się koło rozmawiających.

— Patrzę, kto mówi, bo twarzy nie można o trzy kroki rozpoznać — rzekł. Dobry wieczór, ojcze czcigodny. A o czem mowa?

— Mówimy o tym dziale. Pan Czarniecki radzi wycieczkę...

— Ojcze kochany — rzekł pan Andrzej.— Od czasu, jak nam trzaska mur kolubryna, ciągle o niej myślę i coś mi przychodzi do głowy... Wycieczka na nic... Ale chodźmy gdzie do izby, to wam moje zamysły wyłuszczę.

— Dobrze -- odrzekł przeor — chodźcie do mojej celi.

Wkrótce potem zasiedli przy sosnowym stole w ubogiej celi przeorskiej. Ksiądz Kordecki i pan Czarniecki pilnie patrzyli w młodą twarz Kmicica; on zaś rzekł:

— Tu wycieczka na nic. Spostrzegą i odbiją. Tu jeden człowiek musi poradzić!

— Jakto? — spytał pan Czarniecki.

— Musi jeden człowiek i to działo prochami rozsadzić. A może to uczynić, póki takie mgły panują. Najlepiej, żeby poszedł w przebraniu. Tu kolety podobne do szwedzkich są. Jak nie będzie można inaczej, to się między Szwedów wśliźnie, jeśli zaś z tej strony szańca, z której pysk owej kolubryny wygląda, niema ludzi, to jeszczelepiej.

— Dla Boga! cóż ten jeden człowiek uczyni?

— Potrzebuje tylko puszkę z prochem działu w pysk włożyć, z nitką proch ową wiszącą i nitkę podpalić. Gdy prochy buchną, działo pęknie!

— Ej, chłopcze! co też gadasz? Małoż to prochu codzień w nie tkają, a nie pęka?

Kmicic rozśmiał się i pocałował księdza w rękaw habita.

— Ojcze kochany, wielkie w was serce, bohaterskie i święte...

— At, daj pokój! — przerwał ksiądz.

— I święte — powtórzył Kmicic — ale się na armatach nie znacie. Inna rzecz, gdy prochy buchną w tyle armaty, bo wtedy wybuchają kule i impet przodkiem wylatuje;

ale gdy kto niemi wylot zatka i zapali, to niemasz takiego działa, któreby to wytrzymać mogło. Spytajcie się pana Czarnieckiego.

— Tak to jest — rzekł Czarniecki.

— Owóż, gdyby tę kolubrynę rozsadzić — mówił dalej Kmicic — wszystkie inne furda!

— Widzi mi się to rzecz niepodobna — rzekł na to ksiądz Kordecki — bo najprzód, kto to się podejmie uczynić?

— Okrutny jeden ladaco — odrzekł pan Andrzej — ale rezolutny kawaler.

— Ty? — zawołali razem ksiądz i pan Piotr Czarniecki.

— Ej! ojcze dobrodzieju! Toż ja u was u spowiedzi byłem i do wszystkich moich praktyk szczerze się przyznałem. Były między niemi nie gorsze od tej, którą zamierzam; jakżeto możecie wątpić, czy się podejmę? Zali mnie nie znacie?

— To bohater, to rycerz nad rycerze, jak mi Bóg miły! — zakrzyknął Czarniecki.

I chwyciwszy Kmicica za szyję, mówił dalej:

— Dajże gęby za samę ochotę, dajże gęby!

— Pokażcie inny sposób, to nie pójdę — rzekł Kmicic — ale widzi mi się, że jakoś sobie poradzę. I pamiętajcie o tem, że ja po niemiecku gadam. To siła znaczy, bo bylem przebranie miał, niełatwo odkryją, żem nie z ich obozu. Ale tak myślę, że tam nikt przed wylotem armaty nie stoi, bo niezdrowo, i że robotę zrobię, nim się obejrzą.

— Panie Czarniecki, co o tem waszmość sądzisz? — spytał nagle przeor.

— Na stu jeden chyba powróci z takiej wycieczki — odrzekł pan Piotr.

— Bywało się w gorszych opałach — rzekł Kmicic — nic mi nie będzie, bo takie moje szczęście!

Ksiądz długo milczał, nakoniec rzekł:

— Perswazyą, prośbami, błaganiem bym cię wstrzymywał, gdybyś sobie jeno do sławy słać drogę pragnął, ale masz słuszność, że tu chodzi o cześć Najświętszej Panny, o ten święty przybytek, o kraj cały! A ty, mój synu, czyli szczęśliwie wrócisz, czyli palmę osiągniesz, sławę, szczęście najwyższe, zbawienie osiągniesz. Przeciw sercu powiadam ci więc: idź, ja cię nie wstrzymuję!... Modlitwy nasze, opieka Boska pójdą z tobą...

— W takiej kompanii pójdę śmiele i rad zginę!

— A wracaj, żołnierzyku Boży, a wracaj szczęśliwie, bośmy cię tu pokochali szczerze. Niechże cię Rafał święty prowadzi i odprowadzi, moje dziecko, mój synaczku kochany!...

— To ja zaraz przygotowania poczynię — rzekł wesoło pan Andrzej, ściskając księdza — przebiorę się po szwedzku, prochy naładuję.

— A nie chceszli wyspowiadać się przed drogą?

— Jakżeby inaczej! Bez tegobym nie poszedł, bo dyabełby miał przystęp do mnie.

— To od tego zacznij.

Pan Piotr wyszedł z celi, a Kmicic klęknął przy księdzu i oczyścił się z grzechów. Potem zaś wesoły jak ptak poszedł czynić przygotowania.

W godzinę, dwie później, wśród głębokiej już nocy zapukał znowu do celi księdza przeora, gdzie pan Czarniecki czekał także na niego.

Obaj z księdzem ledwie go poznali, taki z niego był Szwed wyśmienity. Wąsy podkręcił pod oczy i rozczapierzył na końcach, nałożył kapelusz na bakier i wyglądał zupełnie na jakiegoś rajtarskiego oficera znakomitego rodu.

— Dalibóg, aż człek mimowoli za szablę ima na jego widok! — rzekł pan Piotr.

— Świecę z daleka! — zawołał Kmicic — coś wam pokażę!...

I gdy ksiądz Kordecki skwapliwie usunął świecę, pan Andrzej położył na stole kiszkę długą na półtorej stopy, a grubą jak ramię tęgiego męża, uszytą ze smolistego płótna i wyładowaną do twarda prochem. Z jednego jej końca zwieszał się długi sznurek, ukręcony z kłaków przesyconych siarką.

— No! — rzekł — jak onej kolubrynie to w gębę włożę i sznureczek podpalę, to jej się brzuch rozpęknie!

— Lucyperby się rozpękł! — zakrzyknął pan Czarniecki.

Lecz wspomniał, że nieczystego imienia lepiej nie wymawiać i uderzył się w gębę.

— A czemże sznureczek zapalisz? — spytał ksiądz Kordecki.

— W tem jest całe niebezpieczeństwo wyprawy, bo muszę ogień krzesać. Mam krzemień, hubkę suchą i krzesiwo z przedniej stali, ale hałas się uczyni i mogą coś pomiarkować. Sznurka, mam nadzieję, że już nie ugaszą, bo będzie wisiał armacie u brody i ciężko go nawet będzie dostrzedz, zwłaszcza, że się będzie tlił chciwie, ale za mną mogą się w pogoń puścić, a ja prosto do klasztoru nie mogę uciekać.

— Czemu nie możesz? — spytał ksiądz.

— Bo wybuchby mnie zabił. Jak tylko skrę na sznurku zobaczę, muszę zaraz w bok pognać co siły w nogach i ubiegłszy z pół sta kroków, pod szańcem na ziemi przypaść. Dopiero po wybuchu będę rwał ku klasztorowi.

— Boże, Boże, ileż to niebezpieczeństw!— rzekł przeor, wznosząc oczy ku niebu.

— Ojcze kochany, tak jestem pewien, że do was wrócę, że się mnie nawet rzewliwość nie ima, która w podobnej okazyi powinna mnie ułapić. Ale nic to! Bądźcie zdrowi i módlcie się, żeby mi Pan Bóg poszczęścił. Odprowadźcie mnie jeno do bramy!

— Jakżeto? Zaraz chcesz iść? — pytał pan Czarniecki.

— Mamże czekać aż rozednieje, albo aż mgła opadnie? Czy to mi głowa nie miła?

Lecz nie poszedł tej nocy pan Kmicic, bo właśnie kiedy doszli do bramy, jak na złość, ciemność poczęła się rozjaśniać. Słychać było przytem jakiś ruch przy olbrzymiem dziale.

Nazajutrz z rana przekonali się oblężeni, że przetoczono je w inne miejsce.

Odebrali bowiem Szwedzi jakoweś doniesienie o wielkiej słabości muru nieco opodal, na zawrocie, koło południowej baszty i tam postanowili skierować pociski.

Noce ciągle były jasne, dnie zgiełkliwe. Strzelano ze straszliwą usilnością. Duch zwątpienia znów zaczął przelatywać nad oblężonymi. Byli tacy między szlachtą, którzy poprostu chcieli się poddać; niektórzy zakonnicy stracili także serce. Ksiądz Kordecki był mężny, ale zdrowie jego poczęło szwankować. Tymczasem Szwedom nadchodziły nowe posiłki z Krakowa, mianowicie straszliwe pociski, kształtu rur żelaznych, napełnionych prochem i ołowiem. Te więcej strachu, niż szkód przyczyniły oblężonym.

Kmicic, od czasu jak powziął zamiar wysadzenia prochem kolubryny, przykrzył sobie w fortecy. Codzień też z utęsknieniem spoglądał na swoje kiszkę. Po namyśle uczynił ją jeszcze większą, tak, że miała blisko łokieć długości, a gruba była jak cholewa.

Wieczorem z murów rzucał chciwe spojrzenia w stronę działa, potem niebo rozpatrywał. Ale księżyc jasny, rozświecający śnieg, udaremniał ciągle jego przedsięwzięcie.

Aż nagle przyszła odwilż, chmury zawaliły widnokrąg i noc uczyniła się ciemna, choć oko wykol. Pan Andrzej wpadł w dobry humor, i ledwie północ uderzyła, znalazł się przy panu Czarnieckim w swoim rajtarskim stroju i z kiszką pod pachą.

— Idę! — rzekł.

— Czekaj, dam znać przeorowi.

— A dobrze. No, panie Pietrze, daj gęby i ruszaj po księdza Kordeckiego.

Czarniecki pocałował go serdecznie i zawrócił. Ledwie uszedł ze trzydzieści kroków, zabielał przed nim ksiądz Kordecki. Domyślał on się sam, że Kmicic wyruszy i szedł go pożegnać.

— Kmicic gotów. Czeka tylko na waszą wielebność.

Spieszę, spieszę! — odpowiedział ksiądz. — Matko Boska, ratujże go i wspomagaj!

Po chwili stanęli obaj przy przechodzie, gdzie pan Czarniecki zostawił Kmicica, lecz pana Andrzeja nie było już ani śladu.

— Poszedł!.. — rzekł ze zdumieniem ksiądz Kordecki.

— Poszedł!... — odrzekł pan Czarniecki.

— A zdrajca!... — mówił z rozrzewnieniem przeor — chciałem mu jeszcze ten szkaplerzyk na szyję włożyć...

Umilkli obaj: milczenie było dokoła, bo dla zbyt ciemnej nocy nie strzelano z obu stron. Nagle pan Czarniecki szepnął żywo:

— Jak mi Bóg miły, tak nawet nie stara się iść cicho! Słyszysz wasza wielebność kroki. Śnieg chrzęści!

— Najświętsza Panno! osłaniajże sługę swego! — powtórzył przeor.

Czas jakiś słuchali obaj pilno, dopóki raźne kroki i chrzest śniegu nie ucichły.

— Wie wasza wielebność co? — poszepnął Czarniecki — chwilami myślę, że mu się uda i nic się o niego nie boję. To bestya, poszedł tak, jakby szedł gorzałki się napić... Dajże mu Boże szczęście, daj mu Boże, bo takiego drugiego kawalera niemasz w Rzeczypospolitej...

— Tak ciemno, tak ciemno! — rzekł ksiądz Kordecki — a oni się od czasu waszej nocnej wycieczki strzegą. Może na cały szereg wpaść, ani się obejrzy..

— Tego nie myślę; piechota stoi, to wiem i pilnują się bardzo, ale przecież stoją na szańcu, nie przed szańcem, nie przed wylotami własnych armat. Jeśli kroków nie usłyszą, to może się łacno pod szaniec podsunąć, a potem go sama wyniosłość osłoni... Uf!

Tu sapnął i urwał pan Czarniecki, bo z oczekiwania i trwogi serce poczęło mu bić jak młotem, a w piersiach mu tchu nie stało.

Ksiądz począł żegnać ciemności.

Nagle w dalekości buchnął olbrzymi słup ognia i huk, jakby wszystkie gromy nieba zwaliły się na ziemię, wstrząsnął murami, kościołem i klasztorem.

— Wysadził! wysadził! — począł krzyczeć pan Czarniecki.

Nowe wybuchy przerwały mu dalsze słowa.

A ksiądz rzucił się na kolana i wzniósłszy ręce do góry, wołał ku niebu:

— Matko Najświętsza! Opiekunko, Patronko, wróć go szczęśliwie!

Gwar uczynił się na murach. Załoga, nie wiedząc co się stało, chwyciła za broń. Z cel poczęli wypadać zakonnicy. Nikt już nie spał. Nawet niewiasty zerwały się ze snu. Pytania i odpowiedzi poczęły się krzyżować, jak błyskawice:

— Co się stało?

— Szturm!

— Działo szwedzkie pękło! — wołał jeden z puszkarzy.

— Cud! Cud!

— Działo największe pękło! Ta kolubryna!

— Gdzie ksiądz Kordecki?

— Na murach! Modli się! On to sprawił!

— Kmicic działo wysadził! — wołał pan Czarniecki.

— Chwała Pannie Najświętszej! Już nam nie będą szkodzili!

Jednocześnie odgłosy zamieszania poczęły dolatywać i ze szwedzkiego obozu. Na wszystkich szańcach zabłysły ognie.

Słychać było coraz większy rejwach. Przy świetle ognisk widziano masy żołnierzy, poruszających się bezładnie w rozmaite strony; zagrały trąbki, bębny warczały ciągle; do murów dolatywały krzyki, w których brzmiała trwoga i przerażenie.

Kordecki klęczał ciągle na murze.

Nakoniec noc poczęła blednąć, lecz Kmicic nie wracał do twierdzy.

* * *

Rozsadzenie olbrzymiej kolubryny uczyniło istotnie pognębiające na Müllerze wrażenie, gdyż jego wszystkie nadzieje wspierały się dotąd na tem dziale. Już i piechota była do szturmu gotowa, już przygotowano drabiny, teraz trzeba było wszelką myśl szturmu porzucić.

Müller czuł codzień wzrastający opór; mrozy odbierały resztę odwagi zniechęconemu wojsku, między którem szerzył się z dnia na dzień przestrach i wiara, że zdobycie tego klasztoru nie leży w mocy ludzkiej.

Wreszcie i sam Müller począł tracić nadzieję, a po wysadzeniu kolubryny, poprostu zdesperował.

Nazajutrz skoro dzień zwołał więc radę, ale pono dlatego tylko, by od oficerów usłyszeć zachętę do opuszczenia fortecy.

Wtem tętent rozległ się przed kwaterą.

Po chwili w sieni zabrzęczały ostrogi i pułkownik Zbrożek [1]) wszedł, a raczej wpadł do izby. Twarz jego była blada, wzburzona, i zanim oficerowie zdążyli spytać o powody tego pomieszania, pułkownik zakrzyknął:

— Kuklinowski [2]) nie żyje!

— Jakto? Co waść mówisz? Co się stało? — spytał Müller.

— Pozwólcie mi odetchnąć, rzekł Zbrożek.

— Mów prędzej, zamordowali go?... — zawołali wszyscy.

— Kmicic! — odparł Zbrożek.

Oficerowie zerwali się wszyscy ze swych miejsc i poczęli patrzeć na Zbrożka, jak na szalonego; on zaś wyrzucając nozdrzami szybkie kłęby pary, tak mówił:

— Gdybym nie widział, oczombym nie wierzył, bo to nieludzka moc. Kuklinowski nieżywy, trzech żołnierzy zabitych, a Kmicica ani śladu. Wiedziałem, że to straszny człowiek. Żeby jednak, będąc jeńcem, związanym, nietylko się wyrwać, ale pobić żołnierzy i Kuklinowskiego storturować... tego człowiek nie mógł dokonać, to chyba dyabeł!

— Coś podobnego nigdy się nie przygodziło... To niepodobne do wiary! — szeptano.

— Pokazał ten Kmicic, co umie!

Müller trzymał się rękami za głowę i nic nie mówił. Gdy wreszcie podniósł oczy, błyskawice gniewu krzyżowały się w nich z błyskawicami podejrzeń.

— Panie Zbrożek — rzekł — choćby to był szatan, bez pomocy, bez jakowejś zdrady nie mógłby on tego dokonać. Kmicic miał tu swoich wielbicieli, a Kuklinowski swych wrogów i waszmość należałeś d› ich liczby!

Zbrożek był w całem znaczeniu tego słowa zuchwały żołnierz, dlatego usłyszawszy zarzut do siebie wymierzony, przybladł jeszcze mocniej, zerwał się z miejsca, zbliżył się do Müllera i zastąpiwszy mu drogę, spojrzał wprost w oczy.

— Czy wasza dostojność mnie posądzasz ?... — zapytał.

---

[1]) Pułkownik wojska polskiego, które wraz ze Szwedami przeciw Ojczyźnie walczyło.

[2]) Pułkownik polskiego wojska u Szwedów.

Nastała bardzo ciężka chwila. Wszyscy obecni nie mieli najmniejszej wątpliwości, że jeśli Müller da odpowiedź twierdzącą, nastąpi niechybnie coś strasznego i niesłychanego w dziejach wojskowych. Wszystkie ręce spoczęły na rękojeściach rapierów.

Lecz w tej chwili oficerowie ujrzeli przez okna, iż podwórzec zaroił się od polskich jezdców. Prawdopodobnie przybywali oni także z wieściami o Kuklinowskim, wszelako w razie zajścia, stanęliby niechybnie po stronie Zbrożka. Widział ich Müller, a lubo bladość wściekłości wystąpiła mu na twarz, jednak pohamował się i udając, że nie spostrzega nic wyzywającego w postępowaniu Zbrożka, odparł głosem, który starał się uczynić naralnym:

— Opowiedz nam wasza mość szczegółowo, jak się to stało? [1])

Zbrożek stał jeszcze czas jakiś z rozdętemi nozdrzami, lecz opamiętał się także, a przytem myśl jego zwróciła się w inną stronę, gdyż towarzysze, którzy właśnie nadjechali, weszli do izby.

— Kuklinowski zamordowan! — powtarzali jeden za drugim.

— Kuklinowski zabit!

— Oddział jego rozprasza się! Żołnierze jego szaleją!

— Pozwólcie panowie przyjść do słowa panu Zbrożkowi, który pierwszy przyniósł nowinę; — zawołał Müller.

Po chwili uciszyło się i Zbrożek tak mówić począł:

— Dziś rano, wziąwszy dwóch towarzyszów, pojechałem do jego obozu. Przyjeżdżamy do kwatery... Powiadają: „Niemasz go!“ Posyłam tu, niemasz go!... W kwaterze mówią, że i na noc wcale nie wracał, ale nie byli niespokojni, bo myśleli, że u waszej dostojności został. Aż jeden żołnierz powiada, że w nocy pojechał z Kmicicem do stodółki, w której miał go przypiekać. Jadę do stodółki, wierzeje otwarte. Wchodzę, widzę, wisi nagie ciało na belce... Pomyślałem, to Kmicic, aż gdy oczy do mroku przywykły, patrzę, że trup jakiś chudy i kościsty, a tamten wyglądał nabity. Dziwno mi było, żeby się mógł tak skurczyć przez jednę noc... Zbliżam się tuż — Kuklinowski!

— Na belce? — spytał Müller.

— Tak jest! Przeżegnałem się... Myślę: czary, omen, czy co... Dopiero jakem zobaczył trupy trzech żołnierzy, prawda stanęła przedemną jako żywa. Ten straszny człek pobił tamtych, tego powiesił i przypiekł po katowsku, a sam uszedł!

Nastąpiła chwila milczenia.

W tem gwar, echa strzałów i tętent kilku koni rozległ się na zewnątrz i do stodółki wpadł oficer szwedzich rajtarów.

— Jenerale! — krzyknął — wycieczka z klasztoru! Górnicy, kopiący minę, wybici do nogi! Oddział piechoty rozproszony.

— Oszaleję! — wrzasnął Müller, chwytając się za włosy, na koń!

Po chwili mknęli wszyscy jak wicher ku klasztorowi, aż grudy śniegu sypały się jak grąd z pod kopyt koni. Po drodze widzieli oddziały piechoty przerażone, uciekające w nieładzie i popłochu, tak bardzo upadły już serca żołnierzy szwedzkich. Opuszczano nawet szańce, którym żadne nie groziło niebezpieczeństwo. Kilkunastu stratowali pędzący oficerowie i rajtarzy. Dopadli wreszcie o staję od fortecy, lecz po to tylko, by na wzniesieniu, widnem jak na dłoni, ujrzeć wracających szczęśliwie do klasztoru napastników. Śpiewy, okrzyki radosne i śmiechy dochodziły od nich do uszu Müllera.

Müller był jakby otrętwiały. Wróciwszy do swej kwatery, zamknął się w niej i cały dzień nie chciał nikogo widzieć.

W kilka dni później wieść gruchnęła po obozie szwedzkim, że kopacze znaleźli przechód podziemny, idący pod sam kościół i klasztor i że tylko od dobrej woli jenerała zależy wysadzić całą twierdzę w powietrze.

Radość niezmierna ogarnęła znużonych mrozami, głodem i bezowocną pracą żołnierzy.

Okrzyki: „Mamy Częstochowę!... Wysadzimy ten kurnik!“ — przebiegały z ust do ust. Rozpoczęły się uczty i pijatyka.

Echa tej radości doszły nakoniec i do twierdzy. Wiadomość o minach już założonych i gotowych do wybuchu rozbiegła się z szybkością błyskawicy z jednego końca wałów na drugi. Najodważniejsi nawet zlękli się. Niewiasty z płaczem poczęły oblegać mieszkanie przeora, wyciągając ku niemu dzieci, gdy ukazywał się na chwilę i wołać:

— Nie gub niewinnych!... Krew ich spadnie na ciebie!...

Im kto większym był tchórzem, z tem większą odwagą nacierał teraz na księdza Kordeckiego, by nie narażał na zgubę świętego miejsca, stolicy Najświętszej Panny.

[1]) Kmicic, po wysadzeniu kolubryny, został schwytany przez Szwedów i oddany Kuklinowskiemu, który go miał męczyć i stracić, lecz on wyrwał się z jego rąk, zabił Kuklinowskiego i uciekł.

Nastały tak ciężkie chwile i tak bolesne dla nieugiętej duszy owego bohatera w habicie, jakich nigdy nie bywało. Szczęściem, że i Szwedzi zaniechali szturmów, aby tem dowodniej okazać oblężonym, że już nie potrzebują ni kuli, ni armat, że dość im jednę nitkę prochową zapalić. Lecz dla tych samych powodów przerazenie rosło w klasztorze. W czasie głuchej nocy niektórym najtchórzliwszym wydawało się, że słyszą już pod ziemią jakieś szmery, że Szwedzi są już pod samym klasztorem. Upadła wreszcie na duchu i znaczna część zakonników. Ci udali się do przeora, by niezwłocznie rokowania o poddanie się rozpoczął. Z nimi razem poszła większość żołnierzy i kilku szlachty.

Wówczas ksiądz Kordecki wyszedł na podwórze, a gdy tłum otoczył go ściśniętem kołem, tak mówić począł:

— „Zali nie przysięgliśmy sobie, że do ostatniej kropli krwi bronić świętego przybytku będziemy? Zaprawdę, powiadam wam, jeżeli prochy nas wyrzucą, to tylko liche ciała nasze, tylko doczesne zwłoki opadną z powrotem na ziemię, a dusze już nie wrócą..

„...Niebo otworzy się nad niemi i tam wejdą w wesele, w szczęśliwość, jako morze bez granic. Tam Jezus Chrystus je przyjmie i ta Matka Najświętsza, i wyjdzie przeciw nich, a one jako pszczoły złote siędą na Jej płaszczu i w światłości się zanurzą i w oblicze Boga patrzeć będą“...

Tu blask tej światłości zaświtał na twarzy jego, oczy natchnione wzniósł w górę i mówił dalej z powagą i spokojem zaziemskim.

— Bóg mi dał moc, lecz wy zdejmijcie strach z serc waszych! Duch mój przenika ziemię i powiada wam: Kłamią nieprzyjaciele wasi i niema prochowych smoków pod kościołem!... Bóg chce ocalić ten przybytek, aby jako arka Noego, unosił się nad potopem klęsk i niedoli, więc w imię Boga powiadam wam, niemasz prochów pod kościołem!

To rzekłszy, umilkł i patrzył na tłum zakonników, szlachty i żołnierzy. Lecz taka była niezachwiana wiara, pewność i siła w jego głosie, że oni milczeli także i nikt nie wystąpił. Przeciwnie, otucha zaczęła wstępować w serca, aż nakoniec jeden z żołnierzy, chłop prosty, rzekł:

— Bądź pochwalone Imię Pańskie!... Od trzech dni mówią, iż mogą fortecę wysadzić, czemuż nie wysadzają?

— Chwała Najświętszej Pannie! Czemu nie wysadzają? — powtórzyło kilkanaście głosów.

W tem uczynił się dziwny znak. Oto nagle naokół rozległ się szum skrzydeł i całe stada zimowych ptaszyn pojawiły się na podwórzu fortecznym i coraz nowe nadlatywały z okolicznych ogłodzonych folwarków. Zdumieli się na ten widok obecni, a ksiądz Kordecki modlił się przez chwilę, wreszcie rzekł:

— Oto ptaszkowie leśni pod opiekę tej Matki Bożej się udają, a wy zwątpiliście o Jej mocy.

Otucha i nadzieja wróciły już do serc, zakonnicy, bijąc się w piersi, udali się do kościoła, a żołnierze na mury.

Niewiasty wyszły sypać ziarno ptaszętom, które poczęły dzióbać je chciwie.

Wszyscy tłumaczyli pojawienie się owych drobnych leśnych mieszkańców sobie na pomyślność, nieprzyjacielowi na szkodę.

— Srogie śniegi muszą leżeć, gdy owe ptaszyny już i na wystrzały i na huk armatni nie uważają, jeno do zabudowań się cisną — mówili żołnierze.

— A czemuto od Szwedów do nas uciekają?

— Bo i najlichsze stworzenie ma ten dowcip, że nieprzyjaciela od swojego odróżni.

— Nie może to być — odrzekł inny żołnierz — przecie i w szwedzkim obozie są Polacy, ale to znaczy, że tam już głodno być musi i obroków dla koni wcale brakuje.

— Znaczy to jeszcze lepiej — mówił trzeci, bo pokazuje się, że co prawią o tych prochach, to wierutne łgarstwo.

— Jakżeto? — spytali wszyscy naraz.

— Starzy ludzie powiadają — odrzekł żołnierz — że niech jeno jaki dom ma się zawalić, zaraz jaskółki i wróblowie, gniazda wiosną pod dachem mający, wyprowadzają się precz na dwa i trzy dni przedtem; taki każda bestya ma rozum, że najprzód wie o niebezpieczeństwie. Owóż, gdyby pod klasztorem były prochy, toby te ptaki tu nie przyleciały.

— Prawdali to?

— Jako amen w pacierzu!

— Chwała Najświętszej Pannie! Źle tedy ze Szwedami!

W tej chwili głos trąbki dał się słyszeć przy południowo-zachodniej bramie; wszyscy pobiegli patrzeć, kto przybywa?

Byłto trębacz szwedzki, który przywiózł list z obozu.

Zakonnicy zgromadzili się zaraz w definitoryum. List był od Wrzeszczowicza i oznajmiał, iż jeśli twierdza nie podda się do jutra, zostanie w powietrze wysadzona.

Lecz ci nawet, którzy poprzednio upadli

pod brzemieniem bojaźni, nie uwierzyli teraz temu wezwaniu.

— Próżne to strachy! — wołali razem księża i szlachta.

— Napiszmy im tedy, żeby nas nie żałowali. Niech wysadzają!

I istotnie odpisano w ten sposób.

W ten sposób spełzł na niczem ostatni fortel Wrzeszczowicza.

A gdy upłynął jeszcze dzień, okazało się zupełnie dowodnie, jak czczemi były obawy oblężonych i spokój powrócił w klasztorze.

Nazajutrz zacny jeden mieszczanin częstochowski, podrzucił list ostrzegający o szturmie, lecz zarazem o wyruszeniu Jana Kazimierza ze Śląska i o powstaniu całej Rzeczypospolitej przeciw Szwedom. Zresztą miał to być, według wieści krążących za murami, szturm ostatni.

* * *

Przyszedł wreszcie wieczór wigilijny. O pierwszej gwieździe zamigotały światła i światełka w całej fortecy. Noc była spokojna, mroźna, lecz pogodna. Szwedzcy żołnierze, kostniejąc z zimna na szańcach, spoglądali z dołu na czarne mury niedostępnej fortecy i na myśl przychodziły im ciepłe, mchami utkane chaty skandynawskie [1]), żony, dzieci, choinowe drzewka, płonące od świeczek i niejedna żelazna pierś wezbrała westchnieniem, żalem, tęsknotą, rozpaczą. A w twierdzy przy stołach, okrytych sianem, oblężeni łamali się opłatkami. Cicha radość płonęła na wszystkich twarzach, bo każdy miał przeczucie, pewność prawie, że czasy niedoli miną już rychło.

— Jutro szturm jeszcze, ale to już ostatni — powtarzali sobie księża i żołnierze. — Komu Bóg śmierć zapisze, niech dziękuje, że przedtem nabożeństwa zażyć mu pozwoli i tem pewniej bramy niebieskie mu otworzy, bo kto w dzień Bożego Narodzenia za wiarę zginie, ten do chwały przyjęty być musi.

Życzyli sobie wzajem pomyślności, długich lat lub niebieskiej korony i taka ulga spadła na wszystkie serca, jakby już bieda minęła.

Noc była uroczysta. Roje gwiazd świeciły na niebie, mieniąc się różowo i błękitno. Blask księżyca barwił na zielono całuny śnieżne, rozciągnięte między fortecą a nieprzyjacielskim obozem. Wiatr nie wiał i taka była cisza, jakiej od początku oblężenia pod tym klasztorem nie bywało.

O północy żołnierze szwedzcy usłyszeli płynące łagodnie z wyniosłości tony organów, potem głosy ludzie dołączyły się do nich, potem dźwięki dzwonów i dzwonków. Wesele, otucha i wielki spokój były w tych dźwiękach i tem większe zwątpienie, tem większe uczucie niemocy ścisnęło serca szwedzkie.

Tymczasem, strażnicy na murach, którzy nie mogli być w kościele, chcąc sobie owę stratę wynagrodzić, poczęli także śpiewać i wkrótce rozlegała się po całym okręgu murów kolęda:

W żłobie leży,
Któż pobieży
Kolędować małemu...

Nazajutrz popołudniu huk dział zgłuszył na nowo wszystkie inne odgłosy. Szańce, ile ich było, zadymiły naraz, ziemia drżała w posadach; leciały postaremu na dach kościelny ciężkie kule i bomby i granaty i pochodnie w rury oprawne, lejące deszcz roztopionego ołowiu i pochodnie bez oprawy i sznury i szmaty. Nigdy huk nie był tak nieustający, nigdy dotąd taka fala ognia i żelaza nie zwaliła się na klasztor, lecz między działami szwedzkiemi nie było owej kolubryny, która sama jedna mogła pokruszyć mur i wyłomy potrzebne do ataku uczynić.

Zresztą oblężeni tak już przywykli do ognia, tak każdy wiedział, co mu czynić należy, że bez komendy obrona szła zwykłym trybem. Na ogień odpowiadano ogniem, na pocisk pociskiem, jeno wymierzonym trafniej, bo spokojniej.

Pod wieczór wyjechał Müller, aby przy ostatnich błyskach zachodzącego słońca skutki obejrzeć i wzrok jego padł na wieżę, rysującą się spokojnie na tle błękitu.

Ten klasztor wieki wieków stać będzie!— zakrzyknął w uniesieniu.

— Amen! — odpowiedział Zbrożek.

Wieczorem zebrała się znów w jeneralnej kwaterze narada, jeszcze posępniejsza, niż zwykle. Zagaił ją sam Müller.

— Szturm dzisiejszy — rzekł — żadnych nie przyniósł skutków. Prochy nasze się kończą; lud zmarniał w połowie, reszta zniechęcona, klęski nie zwycięstwa wygląda. Zapasów już nie mamy, posiłków nie możem się spodziewać.

— A klasztor, jako pierwszego dnia oblężenia, nienaruszony stoi!

— Co nam pozostaje?

— Hańba...

— Odebrałem rozkazy — rzekł jenerał—

[1]) Skandynawia, półwysep na północy Europy, na którym leży Szwecya.

bym prędzej kończył lub odstąpił i szedł do Prus.

— Co nam pozostaje?...

Wszystkich oczy zwróciły się na Wrzeszczowicza, ten zaś rzekł:

— Ratować honor!

— Honor uratowali tylko polegli!—rzekł jeden.

Müller począł tracić zimną krew:

— I ten klasztor stoi tam jeszcze?... Ta Jasna Góra, ten kurnik??... I ja go nie zdobyłem?!... I my odstępujemy?... Czary-li to, sen, czy mówię na jawie?...

— Sen, klasztor, ta Jasna Góra stoi tam jeszcze — powtórzyli słowo w słowo obecni, a my odstępujemy pobici!...

Nastała chwila milczenia; zdawało się, że wódz i jego podwładni znajdują jakąś dziką rozkosz w rozpamiętywaniu własnego upokorzenia i wstydu.

Następnej nocy zapanował ruch w całym obozie. Ledwie światła dzienne zagasły, słychać było głosy komendy, przebieganie znacznych oddziałów jazdy, odgłos kroków piechoty, rżenie koni, skrzyp wozów, głuchy turkot dział, zgrzytanie żelaztwa, dźwięk łańcuchów, szum, gwar i wrzenie.

— Czy nowy szturm na jutro? — mówili strażnicy przy bramach Jasnejgóry.

Lecz nie mogli nic widzieć, bo z wieczora niebo zawlokło się chmurami i począł padać śnieg obfity.

Gęste jego płaty przysłaniały świat. Około piątej w nocy wszystkie odgłosy ucichły, lecz śnieg padał coraz gęstszy. Pokrył cały klasztor i kościół, jak gdyby go chciał ukryć przed wzrokiem najezdników, otulić i osłonić przed ognistymi pociskami.

Nakoniec poczęło szarzeć i dzwonek ozwał się już na jutrznię, gdy żołnierze, strażujący przy południowej bramie, usłyszeli parskanie konia.

Przed bramą stał chłop, cały zasypany śniegiem; za nim widać było na wjazdowej drodze niskie, małe sanki drewniane, zaprzężone w chudą i poszerszeniałą szkapę.

Chłop począł „zabijać“ ręce, przestępować z nogi na nogę i wołać:

— Ludzie, a otwórzcie tam!

— Kto żywie? — zapytano z murów.

— Swój, ze Dzbowa!... Przywiozłem dobrodziejom zwierzynę.

— A jakże cię to Szwedy puścili?

— Jakie Szwedy?

— Którzy kościół oblegają.

— Oho, niemasz już nijakich Szwedów!

— Wszelki duch Boga chwali! Odeszli?

— Już za niemi i ślady zasypało!

Wtem gromady łyczków i chłopów zaczerniały na drodze; jedni jechali konno, drudzy szli piechotą; były i niewiasty, a wszyscy zdaleka już wołać poczęli:

— Niemasz Szwedów! niemasz!

— Poszli precz!

— Otwórzta nam bramy! Ni człeka w obozie!

— Szwedzi odeszli! Szwedzi odeszli! — poczęto wołać na murach i wieść piorunem rozbiegła się w okrąg.

Żołnierze dopadli dzwonów i uderzyli we wszystkie, jakby na alarm. Kto żył, wypadał z cel, mieszkań, z kościoła.

Wieść brzmiała ciągle. Podwórzec zaroił się zakonnikami, szlachtą, żołnierstwem, niewiastami i dziećmi. Radosne okrzyki rozległy się dokoła. Jedni wypadali na mury, aby pusty obóz obejrzeć; inni wybuchali śmiechem lub szlochaniem.

Niektórzy nie chcieli wierzyć jeszcze; lecz napływały coraz nowe gromady tak chłopstwa, jak i mieszczaństwa.

Szli tedy z miasta Częstochowy i z wiosek okolicznych i z lasów pobliskich, gwarno, wesoło i ze śpiewaniem. Krzyżowały się coraz nowe wieści; każdy widział odchodzących Szwedów i opowiadał, dokąd odchodzili.

W kilka godzin później pełno było ludzi na pochyłości i na dole pod górą. Bramy klasztoru otwarły się szeroko, jak zwyczajnie bywały przed wojną otwarte; jeno wszystkie dzwony biły, biły, biły... a owe głosy tryumfu leciały w dal i słyszała je cała Rzeczpospolita.

Śnieg zasypywał ciągle ślady Szwedów.

* * *

O południu dnia tego kościół był tak nabity, że jako na brukowanych ulicach miejskich kamień leży jeden obok drugiego, tak tam głowa była przy głowie. Sam ksiądz Kordecki miał Mszę dziękczynną, a tłumom ludzkim zdawało się, że to biały Anioł ją odprawia. I zdawało się także, że duszę wyśpiewa w tej wotywie, lub że z dymami kadzideł uniesie się ku górze i rozwieje Bogu na chwałę.

Huk dział nie wstrząsał już murów, ani szyb w oknach, nie zasypywał kurzawą ludu, nie przerywał modlitw, ani tej dziękczynnej pieśni, którą wśród uniesienia i płaczu powszechnego zaintonował przeor:

„Te Deum laudamus!“

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.